13

Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 21 marca 1948 r. | Nr 12 (141)

W NUMERZE
między innymi:

Genowefa Szturchaniec — Clepomania classica
Józef Ozga-Michalski — Wiersze wielkopostne
Władysław Kuszyk — 6 dni Czechosłowacji
Prof. Dr. J. B. Kozak, Prof. Dr. Fr. Koverne, Prof. Ladislav Stoll — Jedność kulturalna w Czechach
Adolf Sowiński — Lata młodości ks. Sciegiennego
Wincenty Styś — Wsie spółdzielcze na Dolnym Śląsku
Józef Putek — Do radykalizmu
Anna Kamieńska — Droga słowa drukowanego
Konkurs „Czytelnika" i nagroda „Wsi" —

Alina Nofer

PAMIĘTNIKI INTELIGENTA*)

(Artykuł dyskusyjny)

Kazimierz Brandys

Tematyka wojenna nie została jeszcze wyczerpana przez powieści lat ostatnich. Głosy krytyków i publicystów co pewien czas podejmują dyskusję nad koniecznością stworzenia realistycznego, pełnego opisu okresu „wielkiej próby", w którym zostałyby ujawnione wszystkie konsekwencje epoki przedwrześniowej w aspekcie historycznym i społecznym. Pisarze jednak zajmują się przede wszystkim człowiekiem i to niejednokrotnie w oderwaniu od jego społecznego tła. Problemem staje się natura ludzka, jej chwiejna, krucha moralność, która dość często w czasach próby, nie zdawała egzaminu odwagi i uczciwości. Zwężenie bogactwa wielopłaszczyznowych zagadnień okresu wojny do szczupłych granic przeżyć jednostki z uwzględnieniem ich psychicznych powikłań jest uwarunkowane tradycją pisarską dwudziestolecia, z której jak dotąd nie udało się jeszcze pisarzom otrząsnąć. Tradycja ta domagała się takiej konstrukcji artystycznej powieści, która by uwzględniała zainteresowanie twórcy losem człowieka pojętego jako indywidualność niepowtarzalna i wyjątkowa. Stąd obraz rzeczywistości nagięty do postulatów indywidualizmu nie miał nic wspólnego ze zbiorowym doświadczeniem.

Na pisarstwie Brandysa i Dygata zaciążyła niewątpliwie poetyka przedwojenna, ale uczestnictwo pisarzy w procesie dokonujących się przemian społecznych nakazywało zużytkować jej chwyty w innym celu. Doświadczenie pouczyło pisarzy o nieprzystosowalności dawnej koncepcji człowieka do wymogów czasu wielkiej reformy.

Dlatego postawiony w utworach problem przedwojennego inteligenta w konfrontacji z rzeczywistością wojenną zostaje rozstrzygnięty na **niekorzyść bohatera.** Pisarz dzisiejszy dezawuuje postawę inteligenta. Środki literackie, jakie do tego służą są dziedzictwem pisarstwa wczorajszego. Wychowanie w okresie międzywojennym w kulcie dla wybitnej jednostki, która wybitność tę zdobywała na drodze jak najdalej posuniętej separacji od życia zbiorowego, nie jest sprawą łatwą do przezwyciężenia. Wojna zmusiła pisarzy do rewizjonizmu przedwojennych postaw, ale nie potrafiła jednym wielkim wstrząsem zmienić konwencji literackich.

I. PATRZĘ, SŁUCHAM, OBSERWUJĘ

Bezimienni bohaterowie obydwu powieści Brandysa i Dygata są typowymi przedstawicielami inteligenckiej warstwy okresu międzywojennego noszą w sobie cechy, jakie zostały im narzucone przez proces społecznego kształtowania się tej warstwy w określonych warunkach historycznych. Ścisłe odizolowanie od reszty społeczeństwa w przekonaniu o własnej wyjątkowości, przodująca rola twórców kultury, klerków z „towarzyskiego ghetta", którym obcy był udział w życiu zbiorowym, sprawiły, że w momencie, kiedy Europa i Polska przeżywały pierwsze dreszcze konfliktów międzynarodowych, oni kwestionowali możliwość wojny przez nieprzygotowanie psychiczne na jej przyjęcie. Wysoko rozwinięty indywidualizm, szczególna dbałość o niezależną pozycję, która z pracy zarobkowej potrafiła uczynić niemal grzech przeciw zasadom dobrego wychowania, nie sprzyjały kontaktom z życiem ogółu pracującego, a potem walczącego. Skazany na samotność inteligent nosił w sobie obraz świata skrzywiony i opaczny, gdzie zamiast praw konsekwencji historycznej działały irracjonalne siły „losu".

Dwie zasadnicze odmienne postawy wobec życia da się uchwycić u bohaterów Brandysa i Dygata: postawę **zgody** i postawę **buntu.** Obie nie miały nic wspólnego z obiektywną oceną zjawisk, obie odwoływały się po tłumaczenie dostrzeżonych procesów w głąb psychiki ludzkiej, która na szali sumienia usiłowała ustalić ich ważność.

„Byłem więc wobec własnego narodu zaledwie życzliwym cudzoziemcem" pisze Brandys w „Drewnianym koniu". — „Zwolna ustalał się w mej duszy podział świata na notariat i rzeczy poza jego kręgiem, a wykwint mojego istnienia wydawał mi się sprawą prostą". „Ów system miał we mnie posłusznego wyznawcę, uznawałem go za tradycję objawioną mej sferze". System ten zadecydował, że kontakt potomka rodu notariuszów z ludźmi spoza kręgu białych willi sporadyczny i przypadkowy, miał posmak „rozkosznego skandalu", a pociągające egzotyką środowisko mydlarzy i ślusarzy budziło w nim przy bliższym zetknięciu niepokojącą myśl sprzeniewierzania się nie tylko własnej tradycji, ale ogólnemu porządkowi świata, który ustalił dystanse między ludźmi. System ten sprawił, że „obawa kataklizmu i zagrożenie świata były pierwszym czuciem duszy" bohatera. Nadciągająca wojna przekraczała jego możność rozumienia.

„Czułem się osamotniony, nieprzynależny do żadnego ludzkiego środowiska" zwierza się bohater „Pożegnań". „Prześladował mnie ustawiczny odruch korygowania na własną rękę wszystkiego, co wydawało mi się w życiu niesłuszne". Owa postawa buntu najdzielniejsza w skutkach sprowadzała się do awantury w rodzinnym salonie, do ucieczki z domu z porwaną po drodze fordanserką, do bezsilnego ataku wściekłości na widok pokrwawionego przez korporantów Żyda. Na dnie jej tkwiła bezradność, brak określonego światopoglądu — źródło goryczy, pesymizmu i zawieszenia w próżni, otaczającej inteligencką, klanową samotność. Oderwanie od społecznej rzeczywistości zadecyduje o pozycji bohaterów powieści o wojnie. Los walczących, gnębionych ludzi nie stanie się ich udziałem. Na pytanie, co robisz? odpowie: **patrzę, słucham, obserwuję.** Dawne, wytworne lenistwo, będące określonym sposobem życia wyższego rzędu nie zmusi go i teraz do pracy. Materialne zabezpieczenie dadzą mu odziedziczone po rejentach-przodkach dobra. Wyjątkowość jego losu wojennego pozwoli mu na spędzenie okupacji w bezpiecznym wnętrzu własnego mieszkania, gdzie jedynym prawie kontaktem z ludźmi będą sąsiedzkie wizyty Doktora i zdarzenia rozgrywające się na ulicy w zasięgu okna („Drewniany koń"), wyjątkowość zadecyduje o jego bezinteresownych przechadzkach obserwatora po „Mieście niepokonanym" dla zbierania wiadomości o życiu innych, wyjątkowość osadzi go w obozie dla internowanych z Polski cudzoziemców, który będzie czymś pośrednim między luksusowym więzieniem, a pensjonatem w uzdrowisku. („Jezioro Bodeńskie"), wyjątkowość wreszcie, o której zadecyduje sama kompozycja dzieła przerzuci go ponad okresem wojny do podwarszawskiej okolicy, chwytającej trwożnie odgłosy zwycięstwa od strony Wisły („Pożegnania"). Wojna zaskakująca bohatera „z kołdrą zaciągniętą pod brodę" pozostawiła go na uboczu. Nie maszerował na wschód z Warszawy, gdy „bezbronna i piesza, wierząca w cudy i dopusty wędrowała Polska szerokimi ulicami miasta" („Miasto niepokonane"), nie walczył o ostatni dom w powstaniu i nie przeżył wielkich emocji konspiracyjnej „roboty".

„W niebezpieczeństwie okazywało się na koniec, że w zagrożonym terenie ja jeden jakimś dziwnym trafem nie byłem na żadne niebezpieczeństwo wystawiony" — zwierza się bohater „Jeziora Bodeńskiego" — „Z wojny powróciłem w trzy kwadranse". Bohater „Drewnianego konia" dwukrotnie był narażony na utratę życia w masowej egzekucji mieszkańców domów, w których mieszkał. W obu wypadkach uratował go nerwowy szok spowodowany napadem lęku.

Uczestnictwo w wojnie bohaterów Brandysa i Dygata polegające na psychicznym przezwyciężaniu niesionych prądem wydarzeń nie było typowe dla ogółu Polaków, nie było typowe nawet dla warstwy inteligenckiej. Ani nie nazwane miasto z „Drewnianego konia", ani obóz nad Jeziorem Bodeńskim, nie były tłem dla rzeczywistych, powszechnych wydarzeń.

O doborze wyjątkowej scenerii dla przeżyć bohaterów zadecydowała konsekwencja ideologiczna obu pisarzy. W powieściach swych podjęli problem **skonfrontowania inteligenta z rzeczywistością okresu wojny,** wykrycia **skutków jego oderwania od życia ogółu.** Wyjątkowość losu bohaterów jest jeszcze jednym środkiem podkreślającym tę izolację.

II. INTELIGENT — SUMIENIE WOJNY

Inteligencka krótkowzroczność nie zdobywała się przed wojną na trzeźwą ocenę sytuacji. Chwiejący się ustrój, który miał doprowadzić do ostatecznego bankructwa jego wyznawców był źródłem katastroficznych lęków inteligenta, doprowadzał go do wniosków kwestionujących sens życia. Aparat myślenia nieprzystosowany do ujmowania historycznych procesów w skali ogólnej przerzucił międzynarodowy konflikt w sferę irracjonalnej klęski. Wojna w systemie pojęć bohaterów Brandysa i Dygata to był ślepy [illegible] fatum grożące jednostce, nieokreślone zło, przeciw któremu należało zmobilizować wszystkie siły psychiczne.

Osamotniony inteligent, któremu obca była wspólna, masowa akcja został wydany na łup własnej trwogi i bezsilności. Nie umiejąc brać udziału w innej — podjął walkę o godność człowieka. „Sprawy wojny zamknąłem na ten czas w granicach mojego sumienia. W bezczynnych, pustych godzinach gnębił mnie lęk o własną duszę i troska, czy wyratuje się z upadku" pisze Brandys w „Mieście niepokonanym". „Nie potrafiłem wkroczyć na wielki wspólny trakt, którym od wieków wędrują gromady i dbałem zawsze o wąską ścieżkę moich własnych spraw wciąż błądząc po samotnych manowcach" — mówi bohater „Drewnianego konia". Samotność nie jest łatwa w momencie ogólnego zamętu i przerażenia. Bezradny inteligent wychowany w poczuciu swej wyjątkowej ważności po raz pierwszy odkrył, że los jednostek choćby najbardziej wybitnych nie wiele się liczy w rozgrywce o byt narodu. Po raz pierwszy zrozumiał, że nie jest nikomu potrzebny. Było to nowym źródłem pesymizmu bohaterów, który nie u wszystkich został przezwyciężony.

„O potęgo mych trwóg, oceniam cię dziś w pełni. Może stałbym się kimś innym, gdyby przekleństwo lęków nie uczyniło mnie samotnym i wyzutym z nadziei" („Drewniany koń").

Lęk i samotność, samotność i lęk — błędne koło charakteryzuje postawę inteligenta. Wyjście z tego kręgu mogło się dokonać tylko przez odrzucenie dawnego systemu pojęć, przez połączenie własnego losu z losem grupy świadomie działającej. Inaczej, lęk stawał się siłą nie do pokonania, materializował się niemal we własnym osobnym istnieniu, podnosił ręce do skroni i wysyłał ludzi na śmierć i na zdradę. Ginie przez własny strach Gospodarz z „Drewnianego konia". Trwoga wykupuje Emila w „Mieście niepokonanym" z rąk niemieckich za cenę denuncjacji najbliższych znajomych. „Zwyciężę w tej wojnie, myślałem nieraz, jeśli zwyciężę strach" — pisze Brandys.

Bohaterowie omawianych powieści zagłębieni w tropieniu własnych trwóg ujmowali wydarzenia wojenne w kategorie własnego uczucia „Zawsze kochałem Francję" mówi bohater Brandysa i ta miłość będzie ogarniać i płoty warszawskie i bohaterstwo żołnierzy i ręce ojca mieszcząc różne elementy na jednej płaszczyźnie uczucia. Ta sama miłość w odwrocie wojsk polskich z zachodu pozwoli mu ujrzeć tylko własnego brata, który wraz z cofającą się armią musiał opuścić tyle miast i wsi. Tragedia żydowskiego ghetta zostanie ujawniona przez niepotrzebną śmierć pana Zielińskiego, który sam zadecydował o niej nie mogąc podjąć życia na wolności w osamotnieniu od reszty ginących za murami. Sprawy wojny musiały mieć swoje konkretne wykładniki w ludziach. Wtedy dawały się ogarnąć, zrozumieć, można było je kochać lub

Stanisław Dygat

nienawidzieć, można je było pomieścić w obrębie własnej psychiki. U podstaw tego krył się wysiłek **pomniejszenia problemów okupacyjnych,** których inteligent **nie był w stanie ogarnąć.** Była to konieczność dla podtrzymania [illegible] wiary w siebie.

Tymczasem poza kręgiem przeżyć psychicznych jednostki, walczył, ginął i dobijał się zwycięstw naród. Katastrofa wojenna demaskowała dawny ustrój i jego system wartości. Pojęcia klasy i nowej struktury społecznej rosły na gruzach walących się domów mimo obozów, łapanek i egzekucji. Samotny inteligent nie widział tego, nie rozumiał ale czuł, tak jak czuł całą rzeczywistość. I wtedy zaczął poznawać błąd własnej postawy oderwanej od zespołu i szerokich kręgów społecznych. „Ja w mej żałosnej postaci jestem tylko grzechem mego środowiska, które wychowało mnie w samolubnym lęku" — skarży się bohater „Drewnianego konia". „Rośnie w piersi klątwa na mój świat za to, że nie nauczył mnie wiary, dla której umiałbym ginąć jak oni na gruzach ojczystych miast" („Drewniany koń"). „Coraz wyraźniej pojawiała się przede mną prawda, że historia ludzkiego serca liczy się tylko w wielkim obrazie zbiorowych, ludzkich spraw" („Miasto niepokonane").

Tu występuje na jaw cały problem powieści inteligenckich o wojnie. Demaskująca rola historii odsłoniła nicość, pustkę i nieprzydatność stosunku do świata przedwojennego inteligenta. Rzeczywistość okupacyjna zmusiła go do rewizji dawnych pojęć. Na drodze poznania nieważności swej i słabości, na drodze przezwyciężania lęków i walki o godność człowieka inteligent odkrył konieczność współistnienia z ludźmi, z grupą, ze społeczeństwem. Za błąd, który popełniał dotąd, rzuca oskarżenie własnej klasie.

III. JESZCZE „KORDIAN I CHAM"

Bohaterowie Brandysa i Dygata cierpiąc na bezczynność i lęk z podziwem i zazdrością myślą o ludziach, którzy mają w okresie wojny konkretne zadania do spełnienia. Słowo „czyn" nabiera dla nich magicznego sensu, staje się legitymacją człowieczeństwa, przezwycięża strach, wypełnia beznadziejną pustkę dni okupacyjnych. Emocjonalne traktowanie zjawisk i tym razem nie pozwala na właściwą ocenę czynu, który dla nich ma wartość **samoistną,** oderwaną od przyczyn, które go wywołały i od skutków, którym ma służyć. Pragnienie czynu to znowu chęć podniesienia swej wartości we własnych oczach, wejścia choćby na chwilę w rolę człowieka społecznie niezbędnego. Bohater „Drewnianego konia" to człowiek szczególnie słaby. Żyjąc w dobrowolnym zamknięciu przywołuje ustawicznie wspomnienia z przeszłości, które mają mu wyjaśnić niezrozumiałą klęskę świata, któremu ufał, doszukuje się związków między każdym strzępem myśli a minionym dzieciństwem, by natrafić na ślad błędu, który go przywiódł do samotności.

Niezależnie od jego woli tuż za ścianą rozgrywają się tajemnicze sprawy konspiracyjnej organizacji „Oko", której ideologią była generalna rozprawa z Żydami, a właściwym

*) K. Brandys „Miasto niepokonane" — „Książka" 1946; K. Brandys „Drewniany Koń" — „Czytelnik" — 1946; St. Dygat „Jezioro Bodeńskie" — „Wiedza" — 1946; St. Dygat: „Pożegnania" — „Czytelnik" — 1948.

celem istnienia — nieuczciwa zachłanność przywódcy.

Bohater w pełni świadomości uczestniczy w decydujących obradach „Oka", przyjmując na siebie fikcyjną rolę delegata przysłanego „z góry" i w wyobraźni przeżywa doniosłość funkcji, jaką spełnia. Nie było istotne w danej chwili polityczne nastawienie organizacji, która godziła się nawet na współpracę z Niemcami. Nie istniało zagadnienie przyjścia z pomocą człowiekowi, który okrada i wyzyskuje innych. Było tylko przyjemne poczucie władzy i czynu. Demaskująca funkcja powieści działa w tym momencie wszechstronnie: odsłania moralną nicość inteligenta, który gotów był na uczestnictwo w najgorszej sprawie dla podtrzymania utraconej przez wojnę pozycji **człowieka niezbędnego**, przesądza o wyniku jego rozmyślań, mających na celu wypracowanie nowej postawy wobec życia. Ukazuje wreszcie jego słabość, gdy czyn ogranicza się jedynie do milczącej aprobaty przebiegu obrad. Zamach na gubernatora odbył się bez współudziału inteligentów. Dokonał go samotnie i niepotrzebnie ośmieszony ślusarz bez wiedzy o istotnych zamiarach tych, którzy kazali mu rzucać granaty pod nogi Niemców. Jest w tym głęboka ironia wojny powierzającej czyny nieświadomym rękom szarych ludzi, którzy nie zawsze byli wykonawcami szlachetnych zamiarów.

Nie chodzi o historyczną wartość czynu ślusarza — śmierć jego nie przydała się na nic. Był aktywistą fałszywej ideologii. Ale tylko on jeden potrafił się zdobyć na bohaterstwo, na czyn, bez patosu, bez chęci uratowania przy tym wiary w sens swojego istnienia.

W „Jeziorze Bodeńskim" bohater we śnie podejmuje ucieczkę z obozu. W wyprawie za granicę Szwajcarii spotyka dwóch prostych żołnierzy, w których roznieca wielką wiarę w możliwości przyjścia z pomocą Polsce przez stworzenie legionu polsko-francuskiego na terenie Anglii. Koncepcja dość zawiła i niedorzeczna. Nie o to chodzi, i tak wyprawa rozgrywała się w fikcji snu, ale działały w niej logiczne prawa przeniesione z gruntu rzeczywistych możliwości bohatera. On, przyszły dowódca legionu upaja się swą władzą i mocą. Nie zdobywa się na żaden czyn w konsekwencji swej ucieczki, a korzystając ze snu towarzyszy wraca z powrotem do obozu. Zwyciężyła cisza i bezruch zamknięcia, w którym nie trzeba było niczego rozstrzygać, w którym żyło się na sposób czysto biologiczny w bezpiecznym oddaleniu od pola bitew. Za Polskę pójdą walczyć dwaj zwykli żołnierze.

Założenie powieściowe dyskwalifikacji życiowej inteligenta działa i tutaj. W kordianowski sposób bohater walczy z własną słabością poto, by jej ulec. Inteligencki Kordian nie umiał podnieść pięści do uderzenia. Zrobił to za niego „cham".

IV. KTÓRĘDY — DO REALIZMU?

Trudno powieściom Brandysa i Dygata wyznaczyć inną funkcję, niż chęć zdemaskowania odizolowanej postawy inteligenta przed wojną a potem jej konsekwencji w czasie okupacji. Da się to powiedzieć zwłaszcza o „Drewnianym koniu" i „Jeziorze Bodeńskim", typowych spowiedziach „dziecięcia wieku", tłumaczącego się z grzechów słabości. Ani obóz dla internowanych cudzoziemców, ani zamknięcie w czterech ścianach pokoju na przedmieściu nie dozwalało na szerokopłaszczyznowe poznanie wojennej rzeczywistości w jej skomplikowanych procesach i związkach. Autorzy wybierając formę pamiętnika dla swych powieści z góry wykluczyli ingerencję własnej wiedzy o świecie, która nakazuje zajęcie określonej postawy wobec problematyki dzieła. Autor, oddając głos bohaterowi, rezygnuje niejako z obiektywizacji przedstawionej rzeczywistości, godzi się na jej wycinkowość i specyficzny dobór elementów, które służą subiektywnym celom zwierzeń. I dlatego trudno by żądać pełnego realizmu od tak pomyślanych utworów. Bohater widzi i ocenia siebie i innych według własnej koncepcji, prawdziwość jego widzenia uzależniona jest od kwestii czy umie zdobyć się na obiektywizm. A w założeniu postawy inteligenta leżała właśnie jego nieumiejętność odkrywania właściwych proporcji wydarzeń, niedowład myślowy, będący wynikiem życia poza społeczeństwem. „Pamiętnik inteligenta" **najmniej mówi więc o rzeczywistości, a najwięcej o samym bohaterze.** Postulowany realizm dzieła będzie polegał na prawdziwości takiej postaci, jaką stworzył autor w osobie „opowiadacza", na odkryciu jej błędnych zasad życiowych, jej przerażającej nieporadności, na skompromitowaniu wreszcie systemu wychowania, który podobnych ludzi wytwarzał. I taki realizm, myślę, w wymienionych utworach spełnia się.

Środki pisarskie, jakimi posługują się autorzy należą do typu konwencji literackich wyniesionych sprzed wojny. Łączy się je z „ferdydurkizmem" i irzykowszczyzną, ustala się stopień przynależności do szkoły Prousta. Ale fakt, że zostały one zastosowane do wyrażenia poglądów inteligenta, że służyły one autorom do krańcowo subiektywnego ujęcia rzeczywistości, pomniejsza zarzuty związku z literaturą schyłku i groteski. Pamiętnik inteligenta wychowanego w określonych tradycjach kulturalnych nie mógł wyglądać inaczej.

Weźmy dla przykładu: „Ale jak być powinno? Tego nikt nie wie. Wszyscy mają w głowie zamęt dziecka, które dostawszy się między dorosłych chce obcować z nimi na równych prawach. Trzeba się śpieszyć, trzeba czymprędzej włożyć dla niepoznaki długie spodnie, a na głowę melonik, żeby ukryć dziecięce ciałko. Co się teraz o to martwić, że kiedy się zechce nadążyć za krokiem dorosłych można zaplątać się w zadługie pantalony i fatalnie przewrócić rozbijając głowę". (Jezioro Bodeńskie). Bohater widzi w ten sposób swoje środowisko. Groteska odsłania zamęt i bezradność wśród ludzi, którzy za wszelką cenę chcą działać, poprawiać i zmieniać rzeczywistość, ale nie widząc i nie rozumiejąc układu sił ideologicznych epoki nie umieją się zdobyć na żaden pozytywny program.

Podobnie u Brandysa: „Los tego miasta sprzyjał raczej poezji, groźny, posępny patos epos, który dział się na naszych oczach, wołał jakgdyby o strofy i rymy; brakło potocznych słów, nie dostawało twierdzeń i ustaleń, aby ująć w zwięzłe głosy ów czas niosący miasto w odmęt nieprzeniknionych mroków" (Miasto niepokonane). Trudno tu mówić o realistycznym ujęciu zjawiska okupowanego miasta w momencie rozgrywającej się tragedii ghetta. Ale słownik inteligenta nie miał określeń objektywizujących rzeczywistość, która porażała jego system myślenia.

Rozpatrując powieści Brandysa i Dygata da się prześledzić pewne różnice pomiędzy „Drewnianym koniem" i „Miastem niepokonanym", a „Jeziorem Bodeńskim" i „Pożegnaniami". Różnice polegają na zmianach zachodzących w systemie myślenia bohaterów, na próbach wyjścia z ciasnego kręgu rozpraw z własnym sumieniem, które można zaobserwować w utworach, później napisanych. Bohater „Drewnianego konia" potrafił odkryć zło samotności, usiłował przezwyciężać własny lęk, ale ani na chwilę nie wyszedł ze swego wnętrza, nie zainteresował się życiem innych, zawieszony pomiędzy wegetacją w odosobnieniu, a śmiercią. Oskarżając system, który nie nauczył go żyć, nie znalazł w sobie siły do zwalczenia jego wpływów. W nadchodzącym zwycięstwie nie umiał znaleźć dla siebie miejsca. „Wojna tłumaczy wiele. Lecz przeczuwam, że gdy umilkną działa wówczas wyjdzie dopiero na jaw ogrom mojej klęski". Samotny inteligent nie umiał sobie zdobyć prawa do życia. „Wyjdę stąd kiedyś, skończy się wojna, stanę się normalnym człowiekiem, ożenię się może z Ludką i będę wiódł życie miejskie i normalne. I chwilami przejmowało mnie to strachem. Na co to? Czy będę jeszcze chciał i potrafił? Przerażony przyszłością umykałem w przeszłość" pisze w końcowej partii pamiętnika bohater „Jeziora Bodeńskiego". **Izolacja nie dała się przezwyciężyć.** Iteligent do końca tkwi w pesymizmie i pustce, nie dopracował się przez wojnę związków ze społecznością, nie widział dla siebie roli do spełnienia w nadchodzących czasach.

Zwężony kręg poznania bohatera w „Mieście niepokonanym" nie ograniczył się już do rejestracji zmian, jakie dokonywały się w obrębie jego psychiki. Chodzenie po gościńcu choćby tylko szlakiem inteligenta dawało obraz ludzi i spraw obchodzących ogół, ukazywało rzeczywistość **nie przeżytą** co prawda **ale widzianą.** Poznajemy człowieka nie przez stałe nawroty jego do wspomnień, nie przez wynurzenia, ale przez jego **stosunek do określonych wydarzeń.** Poznajemy jego społeczne doświadczenia, trudności, jakie przezwyciężał na drodze do wyrobienia w sobie związków z grupą, obserwujemy jak się zmienia jego postawa wobec życia. „Było w tym dobro wojny, że zdołaliśmy zrozumieć tożsamość dziejów zbiorowych i ludzkich i potępić samotność, z której rodziła się nienawiść, zwątpienie i strach". To była pozytywna konkluzja. Bezsilna ekspiacja bohatera „Drewnianego konia", nie odsłoniła mu żadnych horyzontów. Bohater „Miasta niepokonanego" przezwyciężył siebie. „Postępowość" „Miasta niepokonanego" objawia się także w pisarskich osiągnięciach. Wyraźna dążność do uproszczenia stylu, szukanie środków wyrazu, które by mogły możliwie najbardziej zobjektywizować ukazaną rzeczywistość sprawia, iż proza Brandysa zaczyna się „upublicystyczniać" i oddala się od przedwojennego nowatorstwa Gombrowicza.

Rezygnację z groteski na rzecz realizmu da się łatwo odkryć w drugiej powieści Dygata. Pamiętnik „Pożegnań" nadąża za bieżącym czasem, nie nawracając do oddalonych przeżyć demaskuje nie tylko postawę jednostek, ale całego klanu inteligencji wyciekającej z Warszawy po powstaniu, odkrywa jej przesądy, w które jeszcze usiłuje wierzyć, obłudę „towarzyskiego ghetta", nicość konwenansu, który stracił swe oparcie o materialne dobra rozbitej klasy. „A do diabła, trzeba się z tego otrząsnąć" woła bohater „Pożegnań" po rozpatrzeniu się w skutkach swej bierności i pesymizmu. I gdy mieszkańcy wytwornych podmiejskich willi oszołomieni i bezradni czekać będą z lękiem na „bolszewików" w obawie o resztki ocalałego majątku i kultywowane tradycje dobrego wychowania, on w pierwszym nadjeżdżającym samochodzie zwycięzców odkryje znajomego. Tak się odbędzie jego przyjęcie do nowego życia.

Alina Nofer

Książki K. Brandysa i St. Dygata wznawiają tak żywy dla literackiej publicystyki powojennej problem inteligencji, bardziej skomplikowany, niż przedstawiła go autorka. Otwieramy artykułem Aliny Nofer dyskusję, oczekując po niej wydobycia KILKU „rachunków sumienia" inteligentów, zróżnicowanych środowiskowo, do czego — zdaniem naszym — dostarczają materiału powieści, wymienionych autorów.

REDAKCJA

Genowefa Szturchaniec

CLEPOMANIA CLASSICA*)

„Zły to ptak, co własne gniazdo kala"...

W numerze 9 (130) „Kuźnicy" ph wymierzył naszemu pismu w ramach „Przeglądu prasy" serię swych cotygodniowych klepnięć i klapsików, ułożonych w staranny przekładaniec.

Metoda poklepywań jest jednym z prastarych i niezawodnych środków salonowej likwidacji przeciwnika. Nie wiem, ile słuszności zawiera legenda, że zalecał ją sam Wolter („Clépez, clépez..." miała podobno brzmieć słynna maksyma) wystarczy jednak powołać się na mniej odległą tradycję mam, posiadających córeczki na wydaniu: „Femcia to ładna dziewczyna — zwłaszcza oczy... nieco krzywe, ale pełne wyrazu... poza tym jest bardzo milutka, bardzo milutka..." W takim maminym tonie złośliwych uprzejmostek i uprzejmych złośliwostek zoperowano i „Wieś". Jak to się jednak stało, że „Wieś" okazała się przeciwnikiem dla wytwornego sprawozdawcy zaprzyjaźnionego pisma? Oto we „Wsi" zaczęto rzekomo rżnąć klasyków.

„Są do wykonania dwie prace" — stwierdza ph — „rozsądna, zgodna z nowoczesnym poglądem na świat ocena przeszłości literackiej, gdzie jak myślę trzeba ostrożnie ważyć każde słowo, by nie zmniejszać z lekkim sercem wielkiego dorobku, jaki dziś w kilkunastu krajach Europy przejmują nowe warstwy społeczne. Druga praca polega na równie rozsądnym i nie liczącym się z demagogią stosunkiem do bieżącej twórczości literackiej". Otóż „Wieś" — (tu seria klepnięć na marginesie) — „prowadzi politykę trochę krótkowzroczną" — co gorsza rewizjonizm jej artykułów (poklepanych, a jakże...) wynikać ma z chęci „całkowitego przystosowania tradycji literackiej do detalicznych potrzeb dzisiejszego dnia".

To się nazywa zgrabnie wmówić (insinuer)!

Nikt we „Wsi" nie ma zamiaru niczego „całkowicie przystosowywać" i to jeszcze — horribile dictu — „do detalicznych potrzeb", bo w naszym nieco mniej salonowym języku nazywa się takie zabiegi po prostu fałszowaniem tradycji historycznej. Natomiast pozwalanie na to, aby w nowych kręgach czytelniczych grasowały **niedostatecznie skomentowane i niedość wyjaśnione historycznie**, z konieczności wsteczne ideologie nazywamy równie niegrzecznie ostateczną ślepotą polityczną.

Nie zmniejszamy z lekkim sercem wielkiego dorobku — to właśnie „Wieś" walczy przeciw wszelkim ghettom i rogatkom kulturowym, to właśnie „Wieś" przełamuje — jak przyznaje sam ph — schemat pisma ludowego, które porusza w ramach problematyki literackiej jedynie sprawy literatury „dla ludu i o ludzie" — to właśnie „Wieś" żąda poszerzenia świadomości kulturalnej mas ludowych o wartości całej spuścizny historycznej przeszłości.

Ale też właśnie nasze pismo najlepiej zdaje sobie sprawę jak bezbronny jest nieprzygotowany, nieumiejący myśleć historycznie nowy czytelnik wobec naporu piękna wieków. Jak znaleźć drogę wśród natłoku zmiennych i zawikłanych prawd autorskich, jak poznać, którzy spośród wielkich, złotoustych magów naprawdę „pomagają ludziom widzieć świat lepiej i dokładniej?"

No bo chyba nie czynią tego wszyscy, czcigodny sprawozdawco, to jest już licentia poetica zbyt karkołomna...

„Pomagano" wsi widzieć świat lepiej i dokładniej od dawna, od „Pielgrzyma w Dobromilu" poprzez — np. Prusa do — np. Piętaka. Lista ta jest umyślnie nieco nieoczekiwana, ale musicie przyznać, że na swój sposób, w swoim ideologicznym i artystycznym wymiarze „pomagał" każdy i to tak skutecznie, że wieś do dziś wybrnąć nie może ze swych ideologicznych zaułków i ślepych uliczek. Czy zmienia tę sytuację fakt, że księżna Izabella *to ze wszech miar zacna dama, że Prus jest* naszym największym powieściopisarzem, a Piętak świetnym prozaikiem współczesnym?

Ale czy należy z tego wyciągnąć wniosek, że we „Wsi", ustawiającej od czterech lat „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej" grono młodych chuliganów ma zamiar przeprowadzić akcję palenia wszelkiego „pisania" niezgodnego z ideologią artykułów J. A. Króla? Przyswajajmy „wielki dorobek" mądrze, uczmy korzystać zarówno z wartości, jak i z błędów stuleci, ale w tym celu nie należy kryć wstydliwie tych błędów za estetycznym parawanikiem. Iwan Sergiejewicz Turgieniew nie ma powodów drżeć przed wsiową inkwizycją, nie rzucimy na niego klątwy za brak zgodności z programem S. L-u, cudów nie ma w historii, rządzą nią jasne ludzkie prawa. Ale wyciągniemy na światło dzienne wszystkie blaski i nędze życia szlacheckiego liberała i damy do rąk nowej wsi kawałek historii, a nie niepojętą zagadkę o ładnym stylu.

O ten „kawałek historii" ma do nas ph niepoślednią pretensję. „Przerost naiwnego psychologizmu lub schematycznego formalizmu ustąpił miejsca naiwnemu niekiedy socjologizowaniu i schematycznemu antyformalizmowi" — oto sytuacja współczesnej krytyki. Ph usiłuje obwarować swoje krytyczne stanowisko: „byłoby nonsensem zaprzeczać, że cała społeczna i gospodarcza organizacja zbiorowisk ludzkich wpływa w sposób zasadniczy na kształtowanie się kultury" — owszem byłoby. I to nonsensem tak uderzającym, że na dobrą sprawę, o ile zręcznie przyprzeć do muru najbardziej opętanego formalistę, to i on przyzna możliwość tego typu zasadniczych wpływów; inna rzecz, że w praktyce badawczej nie będzie się absolutnie tą „prawdą starą jak świat" krępował i zbuduje sobie zarówno teorię kultury, jak i metodykę, która tę prawdę skrzętnie pominie.

Myślę, że nie będę w błędzie, jeśli dopatrzę się w skargach na pomijanie „samego dzieła" i dłubanie „we wszystkim innym", echa starych, formalistycznych ergocentrycznych schematów i pretensji o poszerzanie zakresu badań, jakie przynosi z sobą metoda socjologiczna. Ale być może, że zaliczanie tych „pehowych" impresji do przejawów zdecydowanego formalizmu to przyznawanie im zbytniej konsekwencji — bo przecież recenzent jest wrogiem „nieznośnej pedanterii badaczy pisma". A więc może i troszkę literackiej hagiografii..., taki formalizm nieschematyczny, dydaktyczno-uczuciowy... Problematyka pisma społeczno-literackiego miałaby się zatem obracać w kręgu albo wersyfikacyjnych fidrygałków w większych lub mniejszych odach, albo zagadnień typu: **„za co winniśmy kochać Pana Tadeusza"** — straszne!!

Wyjaśnienie historycznego sensu i społecznego uwarunkowania określonego zjawiska ideologicznego, jakim jest bezsprzecznie literacka działalność pisarza, jest z tego punktu widzenia „mieszaniem spraw literatury do spraw polityki". Młoda (uprzejmie klepana) krytyka „Wsi" — zdaniem sprawozdawcy, zabłąkała się na manowcach chcąc ustalić ideologiczne sylwetki przedstawicieli trzech formacji rosyjskiego radykalizmu — Turgieniewa, Dostojewskiego, Gorkija. Na czym to jednak polega — dokładnie nie wiemy, nie został wysunięty ani jeden rzeczowy argument przeciw stwierdzeniu, że Dostojewski „przeszedł klasyczną drogę humanitarnego mieszczanina", ani przeciw *określeniu ideologii* Turgieniewa. Ph wyrażał tylko ogólnikowy niesmak w stosunku do usiłowań tego rodzaju, od rzeczowej dyskusji uchylił się dowcipami o białych generałach na amerykańskim żołdzie. A szkoda, może nie mówiłby tak wiele o „nieporozumieniach" młodych badaczy, nie starałby się tak gorąco przekonać nas, że przyjacielem, jest np. „stary Dostojewski" gdy wiadomo, że dla „samorodnego", nieuprzedzonego krytyką czytelnika „Biesy" są nie tyle książką o liberalnej inteligencji rosyjskiej, ile raczej książką o rewolucji...

Teraz zarzuty pod adresem niedość rzekomo „rozsądnego" stosunku do bieżącej twórczości literackiej. Autor krytyki o „Murach Jerycha" miał wyciągnąć ze swych interesujących rozważań wniosek „najmniej oczekiwany": książka jest za trudna dla czytelników nie-inteligentów. Zdaniem ph jest to zarówno demagogia jak i chęć upraszczania literatury. Hm! konia z rzędem temu, kto dziś upowszechni Brezę w wiejskich i robotniczych ośrodkach, ale też wysnuwanie z tego oczywistego stwierdzenia wniosku („najmniej oczekiwanego"), że jest ono przejawem dążenia do kształtowania literatury na modłę najpopularniejszej w tych kręgach czytelniczych Rodziewiczówny — jest chyba zbyt daleko posuniętą chęcią czytania między wierszami.

Najtkliwszym klepnięciem mającym rozczulić nasze proste, chłopskie serca było porównanie „Wsi" z młodzieńczą „Kuźnicą". Porównanie z „Kuźnicą" jest niewątpliwym zaszczytem i składamy za nie sprawozdawcy serdeczne, staropolskie, rdzenne i plemienne „Bóg zapłać".

Niepokoi nas tylko przymiotnik „młodzieńcza" — Czy to już plusquamperfectum? i to niby proszę łaski pana jak? Podtatusiała „Kuźnica"?! „Kuźnica" która pielęgnuje brzuszek,

„ceni sobie spokój miły
i czeka, aż całkiem wyły-
sieje"? (Boy)

Czy przymiotnik ten ma oznaczać, że „Kuźnica", stary sztandar postępowej myśli, porzuciła już wolteriańską linię walki z kołtuństwem, a zaczęła się dobierać do skóry własnej, rodzonej młodzieży, jako automatyczna gaśnica na „młodych i zapalonych"?

Nie, na świętego Stefana Wyznawcę, wstyd wypłatać takie brednie nawet żartem. Jeszcze większy wstyd, proszę sprawozdawcy, przemycać podobne sugestie na łamach własnego pisma, w dobie, gdy stało się ono przedmiotem złośliwych, a niezasłużonych ataków. To jeden z najbrzydszych ptasich obyczajów. Chyba, że mamy do czynienia z kukułczęciem. Wówczas wszelkie perswazje są bezskuteczne.

---

*) Clepo, are, avi, atum — termin mało rozpowszechniony w łacinie klasycznej, oznacza pewien typ automatycznych odruchów dobrze ułożonego geniusza w stosunku do otoczenia.

Józef Ozga-Michalski

Rys. Krystyny Hierowskiej

WIERSZE WIELKOPOSTNE

Józef Ozga - Michalski recytuje swoje wiersze w Kościelnej Górze pod Poznaniem

KOŃ BEZ GRZECHU

Dzwoniono w klasztorze,
wyły wilki w borze
dwaj mnichowie,
jak wilkowie
wyszli po nieszporze.
Jeden patrzył w las,
drugi wiązał pas
dzwoneczkiem pobrzękiwali,
marsz na kwestę — marsz.
Jeden w niebo patrzył,
a drugi na ziemię,
pierwszy łapał wiatry
drugi nosił brzemię.
Tydzień wędrowali
nic nie uzbierali,
drugi tydzień szli
zamykano drzwi.
W pogodę i słotę,
w piątek i w niedzielę
ryglowały wrota
katolickie sknery.
Wracać do opata?
Pustych sakiew dno,
szkoda nieboraków,
diabli ręce trą.
A trą tak siarczyście,
że aż w sosnach smoła
mało nie wytryśnie
jak śpiew archanioła.
Mało tego jeszcze,
na drodze gdy szli
stanął wóz na ścieżce
koń przy dyszlu śpi.
Wóz z beczkami stał,
a w beczkach żywica
furman tego spał,
przez sen strzelał z bicza.
Ten, co nosił sakwy
przyprzągł się do dyszla —
ten co szukał wiatru
na konia wyskoczył.
Sakwowy pozostał,
przyprzągł się do dyszla
zaśmiała się sosna
jak diabeł smolista.
I beczki na kole
pękały ze śmiechu
łyżka miodu w smole
pływała wśród grzechu.
Aż się zbudził smolarz,
zdębiał w ciemnym lesie,
zmienił się w słup soli
a mnich głowę zwiesił.
Wsparł ręce na miechu
i rzekł: — Łaska boża
wyzwala mnie z grzechu,
wyprzęgaj mnie z woza.
Woźnica wyprzęga
i pod nosem klnie,
dlaczego to na mnie
skrupił się twój grzech.
Padł zakonnik na kolana.
Poszedł smolarz kupić konia.
Chodzi, szuka po jarmarku,
oj nie święci lepią garnki
i nie mnichy wożą beczki
nie nasypie gwiazd do sieczki.
Cóż więc oko jego mgli?
Grzywa, ogon i kopyta,
podszedł — czy mu się nie śni?
Zajrzał w zęby — i zapytał.
Cicho, szeptem, jak w kościele
ło końskiego wspiął się ucha:
— Tak galopem nagrzeszyli?!
Panie ojcze — para bucha!
Sosny w borze od galopu
jeszcze się w wierzchołkach chwiały,
ślady kopyt, ślady stopy
na tej drodze pozostały.

O POPIE, WDOWIE i BUHAJU

Niżej chmur, wyżej pól
nad strumykiem wśród jesionów
stała cerkiew pokryjomu.
Miała szybki zielone,
podniebienie sklepione.
Stała cerkiew w Żupranach
cała murowana.
Śpiewali i grali
w niej na organach.
W głównym ołtarzu
święty Juro stał
i wielką dzidą
diabła w rzyć dźgał.
Przy kościółku na ławeczce
pop w szkła okularów chuchał,
siedział sobie na przypiecku,
przy dzwonnicy pasł się buhaj.
Dróżką do kościoła,
co wypływa z łąk
szła baba i krowa
chociaż nie bił dzwon.
Pod murem na skarpie
liże trawę buhaj
pop go liną szarpie
w okulary chucha.
Aż nadeszła wdowa
i powstał pop z zydla;
— Puść do mojej krowy
ojcze twoje bydlę.
Całuje go w ręce,
prosi pięknie wdowa
stoją wszyscy w męce
pop, baba i krowa.
— Dość się napracował
więcej niźli wół,
patrz, przechylił głowę
nie w górę, a w dół.
Trzykroć się zasadzał,
to nie święty Juro
z malowaną dzidą
wśród aniołów chóru
Babę chwycił żal,
zadzwoniono Anioł Pański
od rzeki szła mgła —
wieczór ciepły świętojański,
owionął ich maj.
Babę tknęło: — twarz jak pąk
cerkiew obleciała w krąg
kościółek był w gaju niwie
cały zarastał w pokrzywie.
Jest lekarstwo na buhaja
pędem pokrzyw nawiązała,
i buhaja tnie po krzyżu
krew w nim starą siecze, chłoszcze.
coraz mocniej, coraz wyżej,
poczuł buhaj w nozdrzach wiosnę.
Skoczył cały malowany,
niby Juro na organy

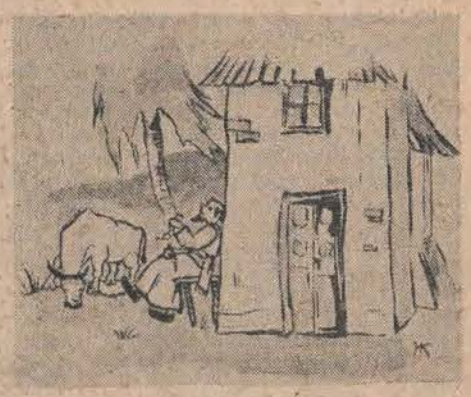

rogi w niebo sterczące
wystawił jak dwa kolce.
Rozpaliło go ziele
jak kadzidło w kościele,
które święci wdychają,
gdy dzidami ruszają.
Wtedy ludzie na tacę
wyrzucają halerze;
— Ile popie zapłacę
za buhaja w ofierze?
Niżej chmur, wyżej pól
na ławeczce wśród jesionów
rzekł jej cicho w szumie dzwonów:
— Nie dziwię się, żeś jest wdowa
twój nieboszczyk miewał łaźnię!
Na pokrzywy zachorował,
w niebie jest mu nieco raźniej.
Lecz byś żonie mej nie rzekła
o swym kropidełku z pokrzyw,
rzucam rubla na twój przetak
by na grzbiecie mym nie rosły.

Niżej chmur, wyżej pól
stali długo pop — i wół.

NIEBIESKA KOKARDA

W ciemnym lesie na pasiece,
gdzie przylaszczki białe kwitną,
konwalije Matki Boskiej
otaczają jeszcze teraz
dom jodłowy — posiew drzewa,
dom jodłowy, posiew szyszek,
które wiosną wiatr kołysze.
W domu żyła para ludzka,
o trzy mile od nas z dala.
Przed świętami na paluszkach
baba komin pobielała.
Przed odpustem cztery ściany,
siwiuteńko w rannych rosach
malowały się jak damy
umaczanym pędzlem z prosa.
Chłop zaś chodził tego dnia
jak czerwony w polu mak.
Woń kapusty i smak grochu
upajała go potrochu.
Pręty wąsów, słupek nosa
dojrzewały w pąsach lic,
wspierała je noga bosa,
chronił dłoni twardy liść.
Raz, on ziemi tęgi płód
przestąpił chałupy próg.
Wyszedł, kędy dzwony biły,
do kościoła, gdzie go chrzcili.
Pod plebanią biel i czerwień,
na chorągwiach wstęgi, wianki,
stoją święci w cieniu lip,
ludzie jedzą obwarzanki.
A wtedy drogą od miasta
w tę dolinę rajskich złud,
która ludźmi tak zarasta,
że przy bucie stoi but,
wjeżdża w sto dwadzieścia koni
samochód przy biciu dzwonów.
To nie figur z drewna sto
nie obrazy w macierzankach,
kwiaty, ptaki, z pól i łąk
na piszczałkach i organkach.
A to biskup, zwykła rzecz
przyjechał, bo miał ochotę
z kiełbasą kapusty zjeść.
Młody jeszcze, rączy w ruchach
pędem na plebanię dmucha.

W samochodzie pies w kokardzie
został przy oknie na warcie.
Chłop, co szczęścia nie miał nigdy
widzieć na oczy biskupa
przepchnął się nosem do szyby,
w samochodzie pilnie szuka.
I nie wierzy oczom w zgrozie,
wszak przyjechał samochodem;
siedzi białe psisko w wozie,
i nie stare — ale młode.
Zaklął, splunął — przeżegnał się
i jak stał, tak w las zawrócił.
Obrócił się na obcasie,
jak żołnierz, gdy służbę skróci.
Baba w domu pyta, bada,
jaki biskup? Co zobaczył?
Chłop zgryziony, zły, nie zdradza
sprawy, która diabła znaczy.
Jaki biskup w nogach, w barkach?
Baba rzędem wzdłuż i wszerz —
— żeby — —
nie ta przenajświętsza kokarda,
byłby — rzekł jej — pies — a pies!

Władysław Kuszyk

6 DNI CZECHOSŁOWACJI

20 lutego na godz. 10 premier Gotwald wyznaczył posiedzenie rządu. Spośród wielu spraw politycznych i gospodarczych na porządku dziennym umieszczony był referat Ministra Spraw Wewnętrznych Wacława Nosek, dotyczący problemów Korpusu Bezpieczeństwa Narodowego, który stał się ostatnio przedmiotem zaciekłych prowokacyjnych ataków ze strony działaczy partii Narodowo-Socjalistycznej. W drugim punkcie porządku dziennego przewidziany był referat generała Ludwika Swobody, Ministra Obrony Narodowej „O wojskowej aferze szpiegowskiej". W trzecim punkcie miały być rozważane sprawy ulg podatkowych dla rolniczych, rzemieślniczych i innych przedsiębiorstw gospodarczych.

Posiedzenie nie odbyło się. Ministrowie trzech partii: narodowo-socjalistycznej, ludowej i demokratycznej, nie przybyli na posiedzenie. Premier Gotwald wraz z ministrami Noskiem i Swobodą udali się do Prezydenta Benesza, a po ich odjeździe ministrowie trzech partii podali się do dymisji.

W wieczornych godzinach zagrzmiało radio: Republice grozi spisek ze strony rodzimej i zagranicznej reakcji. Komitet Centralny Komunistycznej Partii wzywa lud pracujący miast i wsi do czujności!

Ze wszystkich stron kraju, z miast, wsi, fabryk i zakładów pracy napływają telegramy „my z Gotwaldem", „precz z reakcyjnymi ministrami spiskowcami".

Praga ma wiele historycznych ulic i zabytków powiązanych z ważniejszymi wydarzeniami przeszłości narodu. Jednym z takich miejsc jest Staromiejski Rynek. Tam w szczególnie ważnych momentach zbiera się lud Pragi, tam też po Monachium, kiedy pułki hitlerowskie przekraczały granicę w Sudetach, mieszkańcy Pragi składali przysięgę na wierność Ojczyźnie. W środku placu wznosi się pomnik w skale. Wielki reformator, Jan Huss, wierny syn ojczyzny.

Przed pomnikiem na placu, **21 lutego**, zebrało się przeszło 100.000 przedstawicieli nie tylko fabryk praskich, ale także odległych wsi i osad. Do zebranych przemówił premier Gotwald: „Bądźcie czujni i gotowi.. Twórzcie w gminach, powiatach i okręgach komitety akcji demokratycznego frontu, ze szczerze demokratycznych przedstawicieli wszystkich partii... Wasza słuszność zwycięży".

Tego dnia napływają ze wszystkich stron kraju niezliczone delegacje, domagając się przyjęcia ich przez Prezydenta Republiki. Składają na jego ręce rezolucje, żądające przyjęcia dymisji reakcyjnych ministrów i dopełnienia rządu Gotwalda ludźmi uczciwymi.

Prezydent szuka drogi porozumienia. Jest mu ciężko podjąć ostateczną decyzję.

22 lutego o godzinie 9 rano rozpoczął się zapowiedziany przez U.R.O. (Centrala Związków Zawodowych) zjazd przedstawicieli rad zakładowych. Przybyło 7.770 delegatów, w tym 700 ze Słowacji. Zjazd otworzył prezes U. R. O. Zapotocki. Przeszło 130 razy przerywano jego przemówienie. Niezliczoną ilość razy przerywano przemówienie Gotwalda. Zjazd domagał się pogłębienia reform socjalnych, **nacjonalizacji** wielkiego handlu wewnętrznego i zagranicznego, domów towarowych, domów handlowych oraz wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych, zatrudniających powyżej 50 robotników. Dla poparcia swoich żądań zjazd uchwalił na wtorek jednogodzinny strajk manifestacyjny. W głosowaniu nad rezolucjami zaledwie 10 głosów było przeciw.

Reakcja nie daje za wygraną. W sztabach partii prawicowych są już gotowe plany zamachu stanu. Płaci się olbrzymie sumy, aby zjazd rad zakładowych nie doszedł do skutku, ale nie ma chętnych, aby to uczynić.

23 lutego po południu, w wyniku prowokacji narodowych socjalistów Korpus Bezpieczeństwa obsadza gmach tej partii. Następuje kompromitacja. W ręce władz dostają się plany przeprowadzenia puczu. Według planów pucz miał się odbyć 18 lutego. Pierwszym czynem miało być opanowanie radia, następnie kluczowych pozycji w komunikacji, łączności i innych instytucjach. Lud Pragi pomieszał te zamiary. Spiskowcy zostali aresztowani, tego dnia po burzliwych obradach socjaldemokraci uchwalili pozostanie w rządzie. Prezes partii Lauszman przyciśnięty do muru przez większość w partii nie odważył się iść przeciwko — zdecydował się na zerwanie z reakcją.

Na zebraniu 350 przedstawicieli wszystkich partii politycznych i ogólno-narodowych organizacji zdecydowano, że do rządu nie wejdą ci, którzy kryzys przygotowali. „Chcemy aby do rządu weszli ci, którzy nie godzili się na takie postępowanie swych partii" — głosiła uchwała. Na naradzie tej powołano też centralny Komitet Akcji Frontu Narodowego. Komitet ten miał odegrać nadzwyczajną rolę. Jego głównym zadaniem była czystka szeregów partii frontu narodowego od spiskowców.

Na ulicach pokazały się drobne grupki sfaszyzowanej studenterii. Na ich prowokacje odpowiedzieli robotnicy. Przegoniona studenteria kryła się w amerykańskiej ambasadzie.

24 lutego na dziejowym zegarze narodu czesko-słowackiego szybko przesuwały się wskazówki. Punktualnie o godz. 12 wybuchł strajk manifestacyjny. Strajkującym nie przerwał ani jeden głos łamistrajka. Wszystkie fabryki, zakłady pracy, transport i komunikacja zamarły w groźnej ciszy. Przez ulice miast i wsi przeciągał groźny pomruk rozgniewanego ludu. Po południu wśród zgromadzonego tłumu prażan obiegały z rąk do rąk odezwy socjaldemokratów Zdenka, Forlingera, Jankowcowej i 23 innych wybitnych członków partii wypowiadających się za współpracą z komunistami. Za przykładem socjaldemokratów poszły inne partie. Narodowy front został utrzymany.

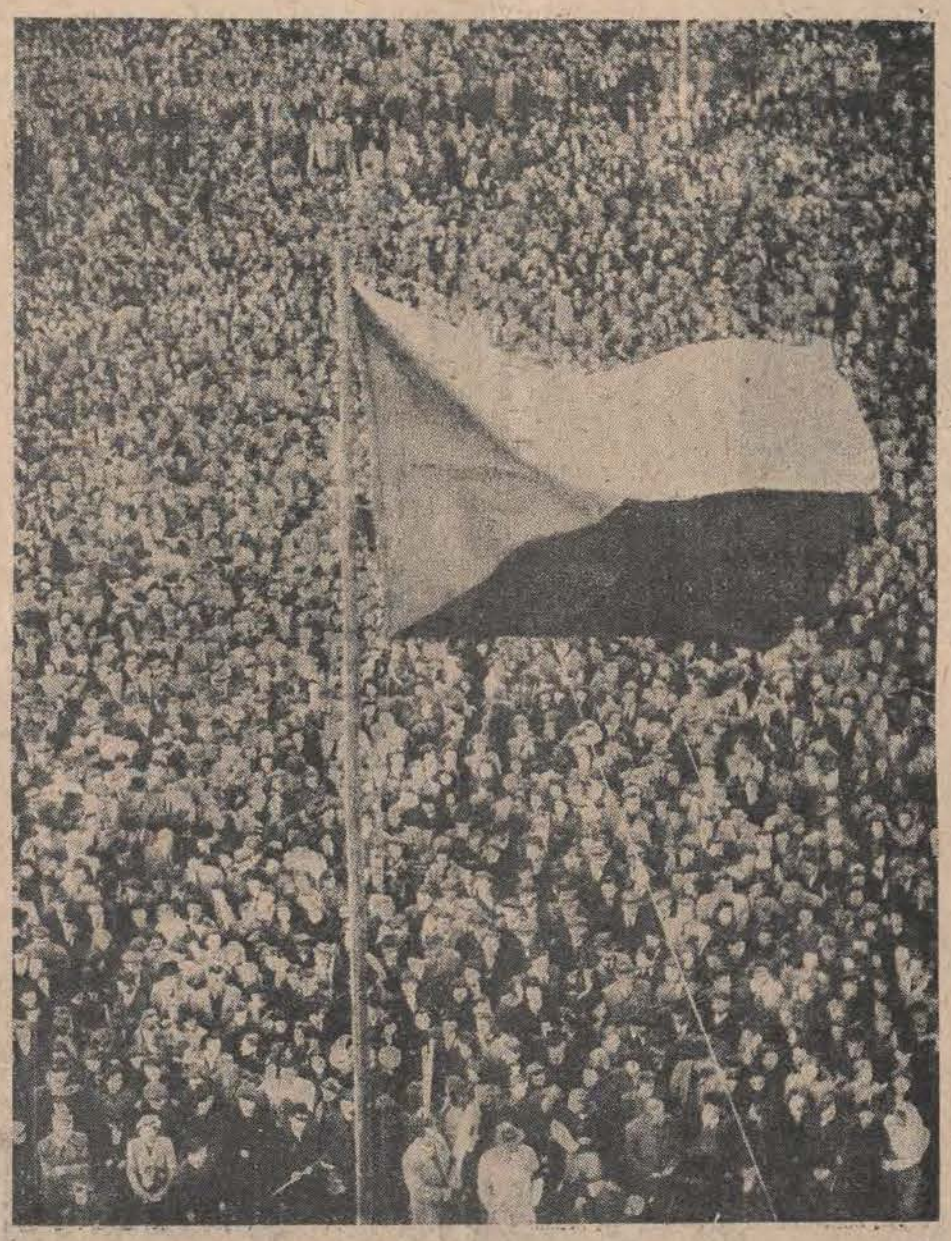

Manifestacja robotników w Pradze

W politycznych partiach demokracji ludowej siły postępowe wzięły górę. Potworzone Komitety Akcji zaczęły czyścić szeregi partii i urzędy od sabotażystów. Ministrowie tzw. „amerykańscy" mimo, że podali się do dymisji, nie opuścili urzędów. Z zachowania ich wynikało, jakby oczekiwali specjalnych rozkazów od niewidzialnych mocodawców. Przekonane doły katolickiej partii ludowej oraz partii narodowo-socjalistycznej o zdradzie i szpiegostwie partyjnych kolegów ministrów, domagają się od Komitetów Akcji usunięcia zdrajców z urzędów.

Ze wszystkich stron kraju napływają rezolucje do Centrali Czeskich Związków Zawodowych, domagające się likwidacji wytworzonego stanu i utworzenia rządu, w którego skład weszliby działacze Związków Zawodowych. Z różnych zakątków wsi organizacje rolnicze nawołują do zjazdu chłopów na niedzielę w Pradze. Lud praski w wyniku przewlekania kryzysu ujawnia na ulicach niezadowolenie. Ktoś rzucił hasło usunięcia ministrów reakcyjnych. Wieść z szybkością telefonu obiegła miasto. W piątym dniu kryzysu Komitety Akcji wydaliły z urzędów ministerialnych byłego Ministra Oświaty narodowego socjalistę Strańskiego i Ministra Handlu Zagranicznego Ripkę. Rozpoczęta akcja usuwania ministrów w poprzednim dniu została zakończona. Jednocześnie robotnicy zatrudnieni w przemyśle papierniczym i drukarniach oświadczyli, że nie dadzą papieru, ani też nie będą drukować prasy, służącej wrogom ludu.

25 lutego lud Pragi postanowił ostatecznie zakończyć sprawę akcji. W napływających rezolucjach rozbrzmiewało najsilniej hasło: „Jeżeli nie zostanie spełnione, nasze żądanie przystąpimy niezwłocznie do generalnego strajku".

O godz. 12-ej 25 lutego radiowe głośniki ogłosiły, że Prezydent Republiki Benesz przyjął dymisje prawicowych ministrów. Ale lud Pragi nie rozchodził się do domu, chciał on potwierdzenie to usłyszeć z ust swoich przywódców. Po naradzie u Prezydenta premier Gotwald o godz. 16 min. 30 oświadczył: „Tylko co powróciłem z Zamku od Pana Prezydenta. Mogę wam zakomunikować, że Prezydent przyjął wszystkie moje warunki". Na ulicach rozległy się nowe hasła: „Teraz do pracy dla dobra ludu!" Tak zakończyła się historia sześciu dni, które Republika Czechosłowacka przechodziła na drodze do socjalizmu.

Zapowiedziany na niedzielę zjazd delegatów wsi zgromadził około 15.000 chłopów. W czasie manifestacji chłopi domagali się przeprowadzenia natychmiastowego reformy rolnej. Wśród okrzyków żądano, aby wszystkie majątki powyżej 20 ha rozparcelować między biedotę i małorolnych. Utworzony rząd w nowym składzie zapowiedział wprowadzenie nowej demokratycznej konstytucji i głębokich społecznych reform, zarówno w mieście jak i na wsi, zgodnie z życzeniem ludu. Lecz lud wiejski mniej cierpliwy od klasy robotniczej nie czekając na ustawę o reformie rolnej przystąpił już do podziału ziemi obszarniczej i klasztornej.

* * *

Jakie siły doprowadziły do historycznych dni, w których lud pracujący przejął inicjatywę rewolucyjną w swoje ręce?

Znacznie wcześniej narastały w Czechosłowacji dni lutowe. Dni lutowe, jakie przeżył naród czechosłowacki, były tylko końcowym etapem samoobrony ludu przed zamachem ze strony reakcji krajowej i zagranicznej. Wynikły one w konsekwencji połowiczności przeprowadzonych reform w kraju, po uwolnieniu go od okupanta w 1945 r.

Wówczas to Prezydent Republiki, nie mogąc przeciwstawić się żądaniom ludu, przeprowadził dekret o nacjonalizacji wielkiego przemysłu i konfiskacie ziemi niemieckiej i kollaboracjonistów. Mocą dekretu przemysł znacjonalizowany objął zakłady zatrudniające powyżej 500 robotników. Stanowiło to ogółem 61 proc. zatrudnionych robotników w przemyśle. 39 proc. robotników pozostało zatrudnionych w przemyśle prywatnym do 500 robotników. Z konfiskaty ziemi niemieckiej i kollaboracjonistów obdzielono zaledwie 170 tysięcy chłopów, reszta ziemi pozostała w rękach obszarników i kościoła. Handel hurtowy wewnętrzny i zagraniczny pozostał w rękach prywatnych. Była to dostateczna baza, która umożliwiła burżuazji miejskiej i wiejskiej po chwilowym oszołomieniu wypadkami wojennymi, dzięki machinacjom czarnorynkowym, dojść do poważnego nagromadzenia majątku. Przy wymianie pieniędzy, jak oświadczył premier Gotwald, każdy obywatel otrzymał po 500 koron. Ale już w roku 1946 kupcy i przemysłowcy dorobili się wielkich majątków. W 1947 r. tzw. prywatna inicjatywa w przemyśle, handlu i transporcie osiągnęła ogółem 10 miliardów koron zysku. Jak wielką sumę w dochodzie społecznym ta suma stanowi, świadczy najlepiej budżet państwa na rok 1948, który wynosi 56 miliardów 900 milionów koron.

W tych warunkach reakcja dysponująca ogromnymi zasobami pieniędzy potrafiła utrzymać swoją siłę ekonomiczną i przeciwstawić się próbom przeprowadzenia reformy społecznej i nowej konstytucji. Mając środki finansowe reakcja czeska poprzez swoich agentów dostała się do niektórych partii politycznych, jak narodowo-socjalistycznej, partii ludowej i demokratów. Potrafiła poprzez te partie zdobyć wpływy w parlamencie i aparacie administracyjnym, wpływać hamująco na przeprowadzenie nie tylko głębszych reform, ale nie dopuściła do nadzielenia 200 tysięcy chłopów ziemią obszarniczą, jaka z tytułu dekretu o reformie rolnej należała się chłopom.

Spośród około 150 tys. spraw wytoczonych za kollaborację, ledwie kilkanaście procent zostało rozpatrzonych przez sądy. Lecz i nad tym czuwał Minister Sprawiedliwości, aby zbyt surowe kary nie spadały na kollaboracjonistów. Olbrzymia masa spraw została umorzona i nie dostała się na wokandę sądową. Będąc jednak nadal zagrożoną w stanie swego posiadania przez rozwijający się ruch robotniczy, reakcja czeska nie mając szerokiej bazy społecznej w swej taktyce wewnętrznej liczyła na rozbicie jednolitego ruchu Związków Zawodowych i na izolację klasy robotniczej od chłopstwa. W ten sposób poprzez skłócenie szeregów klasy robotniczej miała nadzieję odizolować komunistyczną partię czeską od wpływu na szerokie masy narodu. Posiadając zbyt wąską bazę społeczną reakcja czeska szukała oparcia w międzynarodowej reakcji, która również liczyła, że uda się jej przekształcić Czechosłowację w ośrodek dywersyjny przeciwko krajom demokracji ludowej i Z.S.R.R. Ta zbieżność interesów czechosłowackiej reakcji z reakcją międzynarodową doprowadziła do tego, że pokusiła się ona o dokonanie przewrotu w celu przechwycenia władzy z rąk obozu demokratycznego.

Imperialiści amerykańscy nie szczędzili wysiłków i środków finansowych, aby plan ten mógł być zrealizowany. Tuż przed wydarzeniami 20 lutego ambasador USA ogłosił, że Czechosłowacja może liczyć na pożyczkę Stanów Zjednoczonych na zakup bawełny, jeżeli przystąpi do planu Marshalla i jeżeli nadchodzące wybory będą „wolne". Na jednej z konferencji prasowych ten sam ambasador wyraził się w ten sposób: „Dotychczas nie straciłem nadziei na to, że czechosłowacki rząd zmieni swoje postanowienia i przyjmie udział w planie Marshalla".

Niemałą rolę odegrali w organizowaniu kryzysu czechosłowackiego przywódcy francuskiej partii socjalistycznej Guy Mollet i Charles Dumas.

Ci dwaj agenci amerykańskich imperialistów w czasie swego pobytu w Pradze odbyli szereg rozmów z czechosłowackimi socjaldemokratami i próbowali nakłonić Lauszmana, aby ten połączył się z prawicowymi ugrupowaniami i utworzył swego rodzaju czechosłowacką trzecią siłę. Układ taki został rzeczywiście zawarty między Lauszmanem a narodowymi socjalistami, katolikami i słowackimi demokratami. Po opublikowaniu tego tajnego układu przez organ czeskich komunistów „Rude Prawo" wśród członków socjaldemokratycznej partii powstało wielkie oburzenie, które doprowadziło do powstania lewicowej opozycji w partii przeciwko Lauszmanowi i jego stronnikom.

Dużą rolę w spisku przeciwko Republice odegrał również Watykan. Kościół katolicki na terenie Czechosłowacji posiada wielkie posiadłości ziemskie. Pod naciskiem emigracyjnych katolickich kół czechosłowackich Watykan wystąpił przeciwko naruszeniu majątków kościelnych w myśl reformy rolnej.

W początkach lutego po złożeniu protestu przez jednego z biskupów czechosłowackich przeciwko parcelowaniu dóbr kościelnych w jego diecezji, w Pradze odbyła się konferencja biskupów z udziałem nuncjusza papieskiego, monsignore Xawer Rittera. Po konferencji biskupi opublikowali tej treści oświadczenie: „Naród, tzn. czeska i słowacka ludność katolicka, nie życzy sobie, aby zamiast błogosławieństwa bożego, ściągnięta została na kraj i jego mieszkańców — klątwa. Historia dowodzi, że nigdy nie cieszył się błogosławieństwem bożym ten, kto naruszył własność kościelną".

W mobilizowaniu sił reakcji wewnątrz kraju, przeciwko demokracji czechosłowackiej imperialiści amerykańscy wykorzystali wszystkie możliwości do tej pracy, zaangażowali również świeżo zorganizowaną sieć szpiegowską z wysiedlonych Niemców sudeckich z oberszpiegiem generałem Guderianem. Ich zadaniem było przerzucić z Polski do Słowacji ukraińskie bandy U. P. A., które miały za zadanie dać poparcie czechosłowackim reakcjonistom.

Historia sześciu dni lutowych w Czechosłowacji zwyciężyła. Pokazała ona, jak bardzo międzynarodowej reakcji zależało na uczynieniu z Czechosłowacji po raz drugi przyczółka wypadowego przeciwko Z.S.R.R. i krajom ludowej demokracji.

Pokazała ona również jak niepokonane są siły narodu, kiedy naród rozumie swoją historyczną drogę, kiedy jest czujny i zorganizowany. W takich chwilach naród nigdy nie przegra, lecz znajdzie dostateczną ilość siły, aby zniszczyć swoich wrogów. Narody Czechosłowacji przypieczętowały swe pełne zwycięstwo.

JEDNOŚĆ KULTURALNA W CZECHACH

Zamieszczamy wypowiedzi trzech czeskich działaczy kulturowych wygłoszone podczas ustanawiania statutu „Jedności kulturalnej" czerwiec 1947. Organizacja ta ma jednoczyć wszystkie poczynania kulturalne na terenie Czech. Wypowiedzi te posiadają bardzo specjalny charakter. Wygłaszają je bowiem ludzie o sprzecznych zasadniczo ideologiach Jeden z nich jest neopozytywistą, drugi wyznawcą koncepcji blumowskich, trzeci zaś marksistą. Toteż porozumienie, jakie potrafili osiągnąć, polegało na uchwyceniu wspólnych momentów w zapatrywaniach na planowanie kulturowe, choćby na przeciąg krótkiego czasu. Porozumienie to wydawałoby się właściwie wręcz nieprawdopodobne uważnemu czytelnikowi, przeglądającemu ataki prof. Kozaka na strukturalizm i idealizm obok mętnych i demanowskich właściwie wywodów prof. Koverne. Mimo to jednak znaleziono język wspólny. Poważną rolę odegrała w tym miejscu niechęć do idealizmu ze strony marksistów i neopozytywistów oraz wyraźny sprzeciw wobec gospodarki liberalistycznej ze strony socjalistów „indywidualnych" i marksistów. Na terenie kultury wskazuje to, że jedność kulturalna w Czechach umacnia się pod wpływem twórczej inspiracji marksizmu przy stale postępujących ustępstwach ze strony reprezentantów filozofii idealistycznej i socjalizmu „indywidualnego".

L. B.

Prof. Dr. J. B. Kozak

Pogląd na rozwój historii

Weźmy marksizm, w jego nowoczesnym ujęciu, jaki obserwujemy w Związku Radzieckim a także i u nas, u teoretyków i praktyków twórczego planowania. Jakiż to wspaniały impuls ideowej twórczości, jakież to źródło twórczego idealizmu dla ludzkości!

Jako filozof dodałbym jeszcze, iż służy on także jako broń przeciwko witalistycznym teoriom w tzw. naukowym poglądzie na świat, w którym przez całe dziesiątki lat tkwiliśmy aż po uszy. W zwycięstwie nad nim olbrzymią część zasługi ma właśnie dialektyka materialistyczna w swej współczesnej mutacji, a więc poglądy Engelsa, Lenina i Stalina.

Mam tu na myśli pokonanie atomizmu i ustawicznego przeceniania asocjacji w psychologii, mechanizmu i chemizmu w biologii, wreszcie przezwyciężenie agregatywnego indywidualizmu w socjologii i w innych gałęziach nauk społecznych.

Stary, naukowy zabobon, że skomplikowane zjawiska bytu dają się bez szkody zredukować do jakiegoś pojęcia, okazały się mylne. Teoria zaś ta pogrzebana jako taka, usunęła się w przeszłość, jakkolwiek dominowała długie wieki i sprowadziła na manowce wielu filozofów. Ustępuje ona psychologii strukturalnej, biochemii, społecznemu strukturalizmowi, filozofii ludu, państwa i historii. Walną pomoc w tym właśnie okazał dialektyczny materializm.

Teoretycznie możemy sobie jeszcze życzyć, jeśli będziemy sobie życzyć, własnego pojmowania dialektycznej metody, tego do jakiego stopnia da się lub nie da przewidzieć metodycznie rozwój społeczeństw, jednakże musimy stwierdzić już dzisiaj, że wyższa rzeczywistość nie da się zredukować do prymitywniejszej i że świadome działanie w danej jednostce czasu historycznego jest rozwojem twórczym.

Dotychczasowe nieporozumienia były spowodowane właśnie tym, iż marksiści walczyli przeciwko mechanicznemu materializmowi intra muros, wewnątrz obwarowań, że nie uważali za konieczne obwarowania te usunąć. Dzisiaj stało się bezspornym to, co jasno udowodnił Masaryk mówiąc, że myśli są również rzeczywistością. Są i to niezmiernie czynną, co więcej zarówno w kierunku dobra jak i zła, co udowodnione zostało przez naukowców, mędrców i przodowników kultury.

Tak właśnie zrozumiany marksizm ma ze starymi zaśniedziałymi formami materializmu bardzo mało wspólnego.

O pierwszeństwie materii mówi się tu przede wszystkim w sensie genetycznym i kosmogonicznym.

Z drugiej strony, dla badacza staje się jasnym to, że marksistowski pogląd na rozwój historii, miał niezmiernie duży wpływ na nasz sposób myślenia i to w takim stopniu, że my jako historycy i filozofowie dziejów o tym wogóle nie możemy nawet dyskutować.

Nauczyliśmy się dzisiaj zdrowej nieufności w stosunku do werbalnych niepowiązanych społecznie i gospodarczo, nieskoordynowanych zasad idealizmu.

Ogólny widok Pragi

Prof. Dr. Fr. Koverne

Dwa socjalizmy

Zastanówmy się najpierw nad zagadnieniem stosunku jednostki do społeczeństwa. Kolektywistyczny socjalizm przekłada społeczeństwo nad jednostkę. Jednostka winna być podporządkowana społeczeństwu. Ba, nawet uważa się ją za narzędzie społeczeństwa.

Zupełnie jednak inaczej ocenia społeczeństwo socjalista indywidualny, jakim był F. X. Salda. Socjalizm tego typu uważa społeczeństwo za twór federacyjny, który powstaje i wzrasta z dążeń twórczych jednostki. Jeden z tych poglądów mówi wprost o wymieraniu indywidualnej jednostki, nie wierzy w budowę socjalizmu w oparciu o jednostkę, o jednostkę wypłukaną z poczucia solidarności społecznej.

Drugi — wprost przeciwnie — widzi w pierwszym niebezpieczeństwo dla socjalizmu, gdyż sądzi, że niestawianie na jednostkę mogłoby powstrzymać albo zboczyć socjalizm z drogi do społeczeństwa bezklasowego.

Nie należy dalej podkreślać różnic.

Teraz się już zdaje, że nie znajdziemy tu nic, co by mogło uzgodnić dwa różne światopoglądy.

Zostawmy jednak na chwilę zagorzały spór i postawmy przed sobą zagadnienie tego rodzaju: czym określi kolektywistyczny socjalista miejsce jednostki w społeczeństwie, a w jaki sposób indywidualny socjalista nakreśli zakres swojej wolności? Myślę, że dla obu istnieje jedyna możliwość wyjścia: droga prawa i tylko droga prawa, gdyż nawet rewolucja znajduje ujście w prawie.

Dalej — zarówno kolektywny jak i indywidualny socjalizm musi oprzeć się o prawo, jeżeli chce zostać socjalizmem. Obie strony jako wolne nie mogą się z sobą stykać poza prawem, zwłaszcza w dziedzinie zagadnień kulturalnych, które to jednako interesują oba odłamy socjalizmu.

Nie mniejsze różnice istnieją między obu odłamami socjalizmu w poglądach na zagadnienia gospodarcze. Gospodarka jest dla kolektywnego socjalizmu podstawą, z nim bardzo ściśle związaną, z której wynikają trwałe założenia ideologiczne. Jeśli więc kolektywny socjalizm pragnie zmienić strukturę społeczną i jej ideologiczną nadbudówkę, musi zmodyfikować również strukturę gospodarczą. (Mówię — „musi zmodyfikować" — jako indywidualny socjalista).

Rozumowania dotychczasowe wystarczy zamknąć stwierdzeniem, że kolektywistyczny socjalista oczekuje dalszych zmian ze strony metamorfoz gospodarczych. Zupełnie odmienny pogląd na zagadnienia gospodarcze reprezentuje socjalizm indywidualny. Dostrzega on wprawdzie, że liberalizm gospodarczy uciskał człowieka, uniemożliwiając pracującemu używanie politycznej swobody (w tym — oba poglądy są zgodne), ale proponuje inne uzasadnienie tego faktu.

Jedna strona jest zdania, że gospodarkę warunkuje przyroda, druga, że kultura. Jedni dają prymat nadbudowie ideologicznej, inaczej, wnikając w problemy ekonomiczne, drudzy opierają się o zagadnienia gospodarcze, pragnąc im nadać autonomie.

Z różnic tych poglądów wynikają dalsze. Kolektywny socjalista podkreśla znaczenie uspołecznienia dóbr, jest skłonnym mniemać, że dzięki temu uspołecznieniu, realizuje właśnie socjalizm.

Indywidualny socjalista po przeprowadzeniu reformy gospodarczej, będzie się następnie zastanawiał nad problemem opanowania środków produkcji.

Stale więc widzimy różnice i rozdźwięki. Oba poglądy jednak są zgodne w ujemnej ocenie liberalizmu gospodarczego, oba poglądy dążą do przeprowadzenia dalszych przemian gospodarczych. I tu uderza wspólnota celów. A ta przecież jest najważniejsza.

Prof. Ladislav Stoll

Zagadnienie wolności

Nie uważam tego za przypadek, że ten właśnie problem (wolność) wyłonił się jako jeden z podstawowych. Gdybym na moje wywody poświęcił więcej czasu, mógłbym udowodnić, jak problem wolności w/g ustalonych praw wyłania się zawsze tam, gdzie społeczeństwo wkracza na nową drogę postępu w momentach przełomów dziejowych, gdy ze ścierania się ludzkich poglądów wyłaniają się zmiany, gdy wzrusza się ziemia, na której zbudowany był ongiś stary ład.

Sądzę, iż byłby ciekawy problem dla światłego historyka prawa, gdyby można było wykazać jak właśnie wraz z innymi przemianami w czasie kolejnych etapów społecznego postępu zmieniało się pojęcie i znaczenie wyrazu wolność, co więcej że stawało się ono przyczyną przelewu krwi.

Ciekawe byłoby porównanie i wykazanie, jakie znaczenie treściowe nadawali wyrazowi wolność Francuzi, burzący Bastylię i jak pojmowali to słowo ludzie, niszczący Pałac Zimowy. Doprawdy przy tym porównaniu przychodzę do wniosku, że to co jeszcze np. znakomity Hugo Grotius — twórca teorii prawa naturalnego, albo niemniej wybitny John Locke, ojciec europejskiego liberalizmu, uważali za podstawę przyrodzonych praw człowieka, tj. wolność osobistą, z biegiem czasu stało się źródłem czynu przeciwko naturze i prawu. Chciałbym również podkreślić Rousseau'a. Był on bowiem jednym z pierwszych ludzi o kulturze europejskiej. On właśnie pojmował doskonale logikę rozwoju ludzkości. A przecież to jego wywody wcisnęły Leninowi pióro do ręki podczas pisania artykułu „O oszukiwaniu ludu za pomocą haseł równości i wolności". Normatywiści — ludzie często szlachetni i uczciwi przypominają mi ojca, który nie spostrzegłszy, że jego syn stał się mężczyzną traktuje go nadal jak chłopaka. Z tego wynikają nieporozumienia często bardzo doniosłe a nawet tragiczne, napewno nie przynoszące korzyści ani ojcu ani synowi. Obraz takiej ludzkiej sklerozy spotykamy nieraz w życiu całych społeczeństw, w polityce, zjawiskach kulturowych i tutaj staje się ona przyczyną goryczy, nieporozumień i tragedii.

Istnieje więc konieczność abyśmy stale, jeśli chodzi o podobne nieporozumienia, pojmowali nasze „dziś" historycznie i abyśmy z otwartymi oczyma oceniali historyczne zjawiska. Jedynie tak postępując, unikniemy gorzkich konsekwencji. Coś podobnego, mówię coś podobnego, przeżyło społeczeństwo czeskie w 80 i 90 latach minionego stulecia. Dzisiaj chodzi w zasadzie o inne rzeczy, o bez porównania głębszy proces przemian, o problemy doniosłej wagi, których niektórzy ludzie poprostu się boją. Otośmy dzisiaj na progu ery socjalizmu, do którego chcemy iść własną czechosłowacką drogą. Jeśli jednak chcemy rzeczywiście iść własną drogą, tzn. że nie boimy się kroczyć „niewydeptanymi ścieżkami", tzn. że musimy twórczo, nowatorsko i śmiało rozstrzygnąć wiele problemów, których dotychczas gdzieindziej nie dotykano. My, obywatele państwa demokracji ludowej, powinniśmy rozwiązać problem wolności, problem jednolitej współpracy ludzi o różnych poglądach filozoficznych, politycznych i wyznaniowych.

Dlaczego właśnie zagadnienie wolności? Dlatego właśnie, że ono wszystkich nas dotyczy. Nie potrzeba mówić o tym, że nam wszystkim wolność jest droga: tak robotnikowi jak i poecie, tak rolnikowi jak i studentowi. Na ten problem patrzymy jednako; niezgodność w ujmowaniu tego zagadnienia występuje dopiero wówczas, gdy się zaczyna mówić o swobodzie jednostki, o swobodzie twórczej pracy, o swobodzie obywatela. Tu dochodzi do nieporozumień we wzajemnej ocenie, tu się objawia zgubny wpływ niejasności w pojmowaniu tego terminu. Prof. Mukarzowski niedawno zwrócił uwagę na ujęcie Saldy: „Wolności! — pisał Salda — jak się ciebie nadużywa, jak się ciebie nie rozumie!"

Nikt nie wątpi w to chyba, że celem Jedności Kulturalnej musi być strzeżenie nie tylko wolności naszego narodowego kolektywu, lecz również wolności każdej jednostki, każdego obywatela, a przede wszystkim swobody twórczości kulturalnej. Jeśli Jedność Kulturalna ma swój cel należycie spełnić, musimy jasno określić to, co każdy z członków Jedności Kulturalnej rozumie pod słowem wolność.

Mówiłem już, że należy udaremnić nadużywanie źle pojmowanej wolności. Musimy zabronić złośliwego żonglowania tym pojęciem, za które w decydujących momentach płynie ludzka krew. Należy uniemożliwić to, aby ludzie kładli znak równości między pojęciem wolności i swawoli, wolności i anarchii, wolności i występku, wolności i nieodpowiedzialności.

To żonglowanie, to nadużywanie pojęcia wolność polega przede wszystkim na tym, że niektórzy ludzie, krytykując dzisiejszy rzeczywiście demokratyczny, planowany ustrój gospodarczy, w imieniu zaśniedziałego liberalizmu twierdzą, iż socjalistyczne planowanie zniweczyło wolność. Twierdzenie to jest albo omyłką albo świadomym wprowadzaniem kogoś w błąd.

System tzw. liberalistycznej wolności, wolnego współzawodnictwa, wolnej produkcji nie był wytworem socjalizmu. Prowadził do monopolistycznego kapitalizmu z jego systemem karteli, trustów, koncernów bankowych, gromadzących społeczny majątek w rękach kilku multimiliarderów.

System socjalistycznego planowania wraca de facto wolność milionom wywłaszczonych i uciemiężonych. Zwraca im dobra materialne w formie kolektywnej, narodowej własności, w postaci społecznego i demokratycznego rozstrzygania zagadnień gospodarki narodowej.

System socjalistycznego planowania jest niewspółmiernie wyższym gatunkiem wolności, od tej, którą szerzono w epoce przedmonopolistycznej gospodarki liberalnej.

Krytyka dzisiejszych stosunków, prowadzona w imieniu liberalizmu, wcale nie dowodzi bystrości umysłu tych, którzy krytykę tę podejmują.

Tłumaczyła **H. Zalewska**

Franciszek Halas

PRADZE

Czas, który kość rozkłada bezduszni
Ją tylko pięknem darzy
krzyczący kamień rozjarzył
teksty portalów i głaz
Po wszystek czas
O bezduszni
Po wszystek czas

Za furtą naszych rzek
twarde huczą kopyta
za furtą naszych rzek
kamieniami rozryte
zboże
straszni jeźdźcy z Objawień
w wichrze ponieśli proporzec

Jest lekkość liści laurowych
ciąży umarłym cień
Ja wiem ja wiem

A to nie strach wcale nie strach
takiej fugi nie zagrał
sam Sebastian Bach
jaką my tu zagramy
gdy przyjdzie gdy przyjdzie czas

Koń z brązu koń Wacława
drgnął nocą pełną gwiazd
książęca pięść broń ściskała
A wam jeno chorały
Bezduszni
Wam jeno chorały

przełożył **Tadeusz Chróścielewski**

Adolf Sowiński

LATA MŁ (ks. Piotra

Chłop z Bilczy
(9 km. od Kielc)

„Gdzie pojedyńcze indywidua są wszystkim, a społeczność niczym, tam jest anarchia".
(Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego)

Wieś nazywała się Bilcza. Leżała w lasach, które tylko dlatego udzieliły gościny dworowi i kilkudziesięciu chłopskim zagrodom, że teren stawał się równiejszy, tworząc zapadniętą i rozległą nieckę o płaskim dnie. Północny brzeg niecki był duży i wyraźny, ukształtowany ze wzgórz na przemian lesistych i nagich, południowy natomiast rozpraszał się w lasach, tak że jedynie po ich narastającej fałdzie o barwie znieruchomiałego dymu jałowcowego można się było go domyślać. Wyższe odnogi Łysogór wszystkie lesiste, ociężałe i chmurne, omijały wieś jak granatowa burza, która od wieków przechodzi stronami.

To był horyzont, pod którego cieniem żyła pańszczyźniana rodzina Ściegiennych. Pokolenie za pokoleniem wychodzili do roboty na pola dworskie, a że kamień mniej tu niż parę stajań dalej dźwięczał im pod stopami, przeto wiedzieli, że ta ziemia zdolna jest wydać ziarno na chleb. I tyle tylko wiedzieli o prawach natury.

Mieszkali nieco wyżej niż inni prawie nad samym traktem, który wychodził z lasów i w lasach ginął. Dlatego pewnie nazwano ich Ściegiennymi, czyli ludźmi zamieszkałymi nad drogą, skoro zabytki języka staropolskiego jeszcze w piętnastym wieku nie mogą się obejść bez „pospólnych ściegien" na oznaczenie publicznych dróg i skoro słowo „ściegno" żyje po dziś dzień w gwarze bilczańskiej jako określenie dla pól położonych przy drodze. Dom nie różnił się niczym od innych, był zwykłą chałupą chłopską o niskich ścianach, wysokiej strzesze, szczytami zwróconej na wschód i zachód, progu równym z terenem a stanowiącym wysoki stopień ponad poziomem glinianej podłogi i oknie wielkości zachodzącego słońca, skoro zachodzące słońce nie zawsze mogło się w nim pomieścić. Pod jesień trzeba było ściany gacić, jak powiadano, nawozem lub ściółką leśną, aby nie przepuszczały wiatru. Obok stał tylko dom Adamczyków z bliźniaczo małą oborą i stodołą i tak samo jak dom Ściegiennych odsłonięty, bo drzewa owocowe schły tu lub karłowaciały, gdy dosięgły korzeniami kamiennego podłoża. Jedynie brzoza zdołałaby zaczerpnąć dla siebie dość soków do rozrostu, ale tę miano w pogardzie, uważając ją za królika wśród drzew, skoro pieni się sama bez ludzkiej opieki.

Reszta wsi leżała po drugiej stronie traktu, ciągnąc się wydłużoną linią na tle lasu i ukazując niekiedy jaśniejszą od lasu zieleń polnych grusz, bo ziemia była tam lepsza i grusze rodziły. Mówiono, że do wsi jest daleko, bo udanie się do odległych zaledwie o milę Kielc na jarmark było już całą podróżą, na którą rzadko znajdowano czas. Za to dwór stał o wiele bliżej, na wyniesieniu po tej samej stronie traktu co Ściegienni położony, pełen odblasków w oknach i wesołych drzew koło domu, bo ziemia tam była najlepsza. Z obejścia koło dworu widać było ponad wsią i lasami trójzębaty zamek w Chęcinach, od którego nie mogła przyjść z wiatrem ani pogoda ani burza, a zawsze słota, bo tam był zachód podczas gdy pogody i burze przychodziły jedynie ze wschodu. To był punkt orientacyjny wsi, a zarazem najdalszy punkt świata, który mogły oglądać dzieci z Bilczy.

Ściegienni dzieci mieli pięcioro: dwie dziewczyny, trzech chłopców. Były starsze i młodsze, więc rodziły się w różnych czasach, ale jedynie Piotr, prawdopodobnie najstarszy, urodził się w czasie znamiennym, bo w pierwszym roku nowego wieku dziewiętnastego od narodzenia Chrystusa, w roku 1800-setnym. Na równi z braćmi, chłopakami od Adamczyka i wszystkimi dziećmi ze wsi chodził w zgrzebnej koszuli wyrzucanej na zgrzebne portki, które zapinał pod nią na brzozowy kołek, przyszyty do płótna zamiast guzika. Latem, pasając najpierw gęsi, a później bydło, nosił na głowie słomiany kapelusz, pleciony przez ojca, w słoty letnie i jesienne zakładał przy tym samym zajęciu na głowę worek niby kapuzę, a zimą — znowu na równi z większością dzieci we wsi — przesiadywał przeważnie w chałupie, bo w domu nie było dość przyodziewku zimowego dla wszystkich.

Wieś liczyła niespełna 80 dymów i około 400 głów, tak bowiem określano podówczas zagrody chłopskie i istoty ludzkie, które w nich przyszły na świat. Wszystka ziemia należała do dworu, a chociaż sam dwór był własnością rządu, to jednak — jak prawie wszędzie w podobnych wypadkach — posiadał swego dziedzicznego dzierżawcę, któremu przysługiwały wszystkie prawa zwykłych dziedziców, a więc wszystkie powinności pańszczyźniane ze strony chłopa Spośród zagrodników tylko znikoma liczba okupywała się dworowi rocznym czynszem w pieniądzu lub naturze za używanie ziemi, potrzebnej na wyżywienie rodziny, olbrzymia większość natomiast płaciła za tę używalność pracą własną i członków rodziny na ziemi pańskiej. Byli to właśnie chłopi zaciężni lub pańszczyźniani. Zależnie od ilości ziemi, którą otrzymali do uprawy, odrabiali na polach dworskich od pięciu do sześciu dni „ciągłych sprzężajnych" w tygodniu, a jeśli nie mieli własnego konia lub wołu, z którym mogliby się udać do roboty, musieli odrabiać tyleż dni pieszych, ale już dwojgiem ludzi.

U Ściegiennych było tylko dwoje ludzi dorosłych: ojciec i matka, obydwoje więc wciąż przebywali poza domem, bo ustawicznie zajęci byli pracą na polach dworskich i na swoich ubogich poletkach, zwłaszcza że konia nie każdego roku posiadali, bo albo zabrakło dlań paszy, albo musiano go sprzedać na opędzenie najważniejszych potrzeb przednówkowych, albo wreszcie, co najczęściej się zdarzało, ustawał z przepracowania i trzeba go było oszczędzać, aby nie padł, bo koń jako główne narzędzie pracy stanowił coś cenniejszego niż człowiek, niż dziecko, ojciec i matka. Tylko człowiekowi nie wolno było ustać, bo wtedy groziło mu wyrugowanie z ziemi, jako nie wywiązującemu się z umowy, którą pozornie dziedzic z chłopem zawierał i nie okazywał skłonności do odtrącania czegokolwiek z przysługującej mu robocizny. Chłop bez ziemi był skazany na powolną śmierć głodową, bo jeśli nie przyjął go inny pan na tych samych co poprzedni warunkach, nie mógł liczyć na inną pracę w kraju, którego przemysł był podówczas zaledwie w powijakach, a w tych stronach wcale na dobrą sprawę nie istniał.

Ludziom w Bilczy pańszczyzna pochłaniała tak wiele czasu, że nierzadko stary Ściegienny wychodził dopiero nocą do pracy na swoje pole, ciągnąc za sobą ociężały i niewyraźny przy księżycu cień pochylonego oracza lub wyprostowanego siewcy. Ale ani on ani matka jego pięciorga dzieci, sucha i stara już mimo swych lat niespełna czterdziestu, choć krzywdowali sobie ten stan rzeczy, nawet nie rozmyślali nigdy nad tym, że może być inaczej. Przyzwyczajenie do jarzma przeobraziło się u nich w pewien rodzaj uznania jarzma za nieuniknione urządzenie świata, skoro razem z całą okolicą nauczali swe dzieci przysłowia:

Choćbyś mieszkał w jamie,
pamiętaj o panie!

Musieli o nim pamiętać nie tylko uprawiając jego pola, bo pańszczyzna na tym się nie wyczerpywała. Dawali jeszcze dziedzicowi ustalone daniny w naturze, odbywali dlań stróże nocne, odwozili jego zboże do młyna i w każdej chwili musieli być ponadto przygotowani na inne obciążenia dodatkowe, które pod nazwą „daremszczyzn" rosły razem z pierwszymi latami wieku dziewiętnastego, otaczając dzieciństwo małego Piotra głodem i chłodem. Starzy Ściegienni najbardziej ze wszystkiego pragnęli snu, to też gdy się nadarzyła rzadka po temu okazja, potrafili przespać półtorej doby jednym tchem, pozostawiając bezpiecznie gospodarstwo domowe i nieliczny inwentarz pod opieką ruchliwej gromadki, już w piątym czy szóstym roku życia świadomej przyrządzania płonych pokarmów i wartości dopilnowania zwierząt domowych. Sen był zresztą nieustannym pragnieniem całej wsi, a więc niejedno popołudnie niedzieli, dnia Bożego, przeznaczonego do radości i zabaw, zastawało zagrody uśpione pod strażą dzieci i psów.

Takich rodzin, jak Ściegienni, którzy mieszkali tu od szeregu pokoleń i nigdy nie zastanawiali się nad tym, czy ich przodkowie kiedykolwiek przywędrowali w te strony, czy też na tym miejscu zostali stworzeni razem ze światem, było we wsi dużo.

Żadna z nich nie zamierzała również tych stron opuścić, aczkolwiek bowiem chłop pańszczyźniany miał w zasadzie prawo rozwiązania owej niepisanej umowy z dziedzicem i opuszczenia wsi, co mu zapewniał dekret wydany przez rząd Księstwa Warszawskiego dnia 21 grudnia 1807 r., a znoszący poddaństwo chłopa wobec dziedzica, to jednak skorzystanie z tego prawa równałoby się samobójstwu, bo tenże dekret głosił jednocześnie, że „rolnik wyprowadzający się ze wsi, w której dotąd pozostawał, winien oddać dziedzicowi własność tego dziedzica gruntową, składającą się z załogi i zasiewów". Jeśli by więc chłop w tych czasach, na które przypadło dzieciństwo, młodość i wiek męski Piotra, chciał uwolnić się od stosunku pańszczyźnianego, musiałby oddać dziedzicowi nie tylko ziemię z zabudowaniami i inwentarzem, ale nawet zboże na zasiew opuszczonej przezeń ziemi, odszedłby więc goły i nagi, tracąc oprócz warsztatu pracy chleb już na dzień jutrzejszy. To też nigdy o tym nie myślał, chyba że dopuścił się czynu, na skutek którego musiał uchodzić ze wsi dla ratowania życia przed sprawiedliwością, na której wymiar jego pan miał wpływ przemożny. Musiałby więc na przykład puścić czerwonego kura na dach dworu, poddawszy się odruchowi rozpaczy, gdy go spotkała jakaś wielka krzywda. Ale o takich ludziach mało w tych stronach słyszano.

Za to dziedzic potrafił czynić użytek z przyznanego mu dekretem rządowym prawa wyrugowania chłopa z ziemi, o ile za tym przemówił jego interes. Czasy Uniwersału Połanieckiego, wydanego przez Kościuszkę 7 maja 1794 r. zastrzegającego chłopu własność posiadanego gruntu, chociaż przy zachowaniu umniejszonych tylko o dwa dni w tygodniu obowiązków pańszczyźnianych, należały już do zapomnianej, bo niewygodnej przeszłości. Nastała dobra koniunktura na wywóz zboża za granicę, więc ziemia zaczęła być cenna jako warsztat produkcyjny. Dawniej posiadanie własnej chałupy na gruncie oddanym w dziedziczną używalność zbliżało chłopa do położenia właściciela gruntu. Nikt mu tego nie kwestionował, ponieważ posiadanie robotnika rolnego było sprawą najcenniejszą. Teraz — jak czytamy w aktach Rady Stanu Księstwa Warszawskiego — szlachcic przypomniał sobie, że ziemię odziedziczył po swych naddziadach i że łaskę tylko czyni chłopu, gdy mu pozwala na użytkowanie cząstki wydzielonej w zamian za odrabianie pewnej liczby dni w tygodniu. To też dekret z grudnia 1807 r., znosząc poddaństwo nadawał chłopu jedynie pozorne prawa obywatelskie, a w gruncie rzeczy był aktem przemocy stanowej, albowiem ziemię użytkowaną przez chłopów uznawał za wyłączną własność szlachty. Chłop stał się tylko drobnym dzierżawcą, którego z końcem każdego roku można było z ziemi wyrugować, o ile dziedzicowi stanie się to potrzebne.

Księstwo Warszawskie, które po zwycięskiej kampanii ks. Józefa Poniatowskiego w r. 1809 przesunęło tu swoje biało-amarantowe sztandary, przyniosło chłopstwu w Bilczy rzecz przez nich samych uznaną na razie za uciążliwą, bo związaną z nowymi podatkami. Była to szkółka parafialna w pobliskich Brzezinach, od razu otoczona niechęcią dworu i kleru, bo była to szkółka świecka, w której dwu pierwszych klasach — jak powiadała odnośna ustawa — „dzieci uczyć się mają: czytać druk i pismo, pisać, rachować na pamięć i cyframi do reguły trzech wyłącznie, nauki moralnej i religii. W klasie ostatniej, trzeciej przydana będzie nauka zachowania zdrowia, wiadomości rolnicze: o zasiewie traw, pastekach, chowie i leczeniu bydła i t. p., nauka prostego pomiaru gruntów, znajomość miar, wag i pieniędzy, oraz znajomość praw wzajemnych między obywatelami. Na wiosnę i w jesieni będą się dzieci uczyły pielęgnować drzewa owocowe, warzywa i rośliny użytkowe... Nauczycieli wybiera się spośród kandydatów, którzy złożą egzamin przed rektorem najbliższej szkoły wydziałowej, religii udzielają duchowni odpowiedniego wyznania".

Taką szkółkę trzyletnią zdążył skończyć Piotr Ściegienny, zanim w powodzi klęsk Napoleona Księstwo Warszawskie zniknęło z powierzchni ziemi, a z nim skończyła swą chwalebną działalność jego Izba Edukacyjna. W domu nie miał ani jednej książki i długo nie domyślał się, że są one sprawą ziemską, skoro widywał je dotąd jako dziecko jedynie na obrazach kościelnych w rękach ewangelistów i świętych, a księga, którą posługiwał się ksiądz przy ołtarzu i na ambonie, stanowiła przedmiot równie wielki i złocony jak księgi na obrazach. Matka była skłonna uważać, że dotykanie książki jest grzechem, bo wszystkie książki są święte. Ojciec nie miał na to pozornie żadnego poglądu, ale po pijanemu zdobył się kilka razy w życiu na rozmaite odmiany wypowiedzi, że panowie nie byliby tacy mądrzy, gdyby ich księża nie uczyli czytać i gdyby nie mieli pieniędzy na kupno książek, z których można nabrać rozumu.

Ten pogląd na książkę dał staremu Ściegiennemu ów człowiek, który przybył z lasów od południa starczo powolnym i kusztykającym krokiem, został we wsi dla nabrania sił przez dobry tydzień, chaty zaś Ściegiennych i Adamczyków, jako stojące tuż nad traktem, a więc bliższe nowin, szczególnie sobie upodobał. Wyglądał na dziada proszalnego, bo był na pół bosy, obdarty i zarośnięty, ale miał wszystkie zęby, które często lubił pokazywać w uśmiechu, poszukiwał okazji do wypicia gorzałki i do śpiewu, a wtedy po fantazji i głosie poznawało się, że to nie jest człowiek tak bardzo znów stary. Piotr nie mógł wtedy jeszcze wiedzieć, że z rozproszonych i rozgoryczonych na Napoleona legionistów Jana Henryka Dąbrowskiego wielu o chlebie proszalnym przedzierało się różnymi drogami do Księstwa Warszawskiego lub jeszcze dalej ku północy i wschodowi, aby połączyć się z wojskami narodowymi lub wrócić bez sił do domów rodzinnych. Zostawiali po sobie nieco zniekształconych już wśród podbojów Napoleona wieści o Wielkiej Rewolucji Francuskiej, o której chłop polski nie wiedział nawet tyle, że wydała Deklarację Praw Człowieka i Obywatela.

Ten, który zawadził o Bilczę, mógł być najwyżej szlachcicem zagrodowym, bo nie poszukiwał dróg do dworu i dobrze czuł się z chłopami, ale że w jego bardzo podobnym do chłopskiego języku stary Ściegienny i sąsiad Adamczyk słyszeli raz po raz słowa niejasne, przypominające im mowę ludzi ze dworu, więc go się po trochu obawiali i pragnęli, aby jak najszybciej poszedł sobie dalej. Nie wierzyli ani na jotę temu co mówił o zaprowadzeniu równości między ludźmi w dalekim kraju, który nazywa się Francją, o zniesieniu ciężarów pańszczyźnianych, tytułów i przywilejów szlacheckich, o udziale wszystkich chłopów w rządach nad krajem i w stanowieniu praw krajowych, a gdy powiedział na koniec, że Bóg wszystkich ludzi stworzył wolnymi, i że przemoc dziedzica nad chłopem jest odwróceniem woli Boskiej, a więc grzechem śmiertelnym, stara Ściegienna aż się przeżegnała i uciekła

Chata w Bilczy

*) Fragment powieści o ks. Piotrze Ściegiennym, którą wydaje Państwowy Instytut Wydawniczy

fot. F. Gładysz

O D O Ś C I*)

Ściegiennego)

z izby, jak gdyby zobaczyła złego ducha, albowiem od dzieciństwa co niedzielę słyszała w kościele, poświęcanym miejscu wykładania prawd o grzechu i zasłudze, że grzechem jest lenistwo czyli niewypełnianie powinności stanu wobec wyżej od nas postawionych, a zasługą wobec Boga powinności tych wypełnianie.

Jeżeli bowiem pańszczyźniana rodzina Ściegiennych narzekała wciąż na swój los, to nie dlatego, aby kiedykolwiek postała im w głowach myśl o burzeniu istniejącego porządku rzeczy, który wydawał im się tak naturalnym jak to, że najwyższe wzgórza łysogórskie nie przesuwają się ze wschodu na zachód, aby osłaniać wieś przed dokuczliwością słot zachodnich, ale dlatego, że rok po roku opadali z sił i nie mogli podołać już pracy. Oni pragnęli tylko ulgi, a nie zrównania z panami. Zresztą wiedzieli dobrze jak wszelkie bunty się kończą, bo gdy niedawno chłopi ze wsi o kilka mil stąd położonej, źle zrozumiawszy dekret rządu Księstwa Warszawskiego o zniesieniu poddaństwa, odmówili pracy na pańskich gruntach, powołując się na pisane słowa dalekiego rządu, sprowadzono na nich wojsko z amarantowymi wyłogami i przymusiwszy wszystkich do pracy, niektórych ochłostano, a kilku nawet ze wsi wypędzono. Obrońcy chłopów, powołujący się na różne rządowe ogłoszenia, są więc tylko szpiegami dziedzica, który chce wybadać, co też chłopi o nim myślą, aby sobie na czas poradzić z tymi, którzy żywią wobec niego złe zamiary. Zresztą rząd zawsze jest daleko, a pan zawsze blisko — i rząd na pana jeszcze nigdy wojska nie przysłał.

U Ściegiennych i u Adamczyków odsunięto się więc od przybysza i dano mu nie bez obawy ale wyraźnie do poznania, że nie ma tu nic więcej do roboty. Odszedł traktem w stronę Kielc, choć jeszcze porządnie kaszlał i kusztykał.

Do szkoły, która mieściła się w parafialnych Brzezinach za lasem, miał Piotr całą milę, gdyby szedł najpierw traktem, a potem wziął się polską drogą na prawo.

W szkole nie nauczył się tyle, ile zapowiadał program Izby Edukacyjnej, bo, nie został on nigdy zrealizowany zarówno dla krótkości pięcioletniego okresu, w którym Izba działała, jak i dla braku odpowiednich sił nauczycielskich. Przede wszystkim zaś nie nauczył się „znajomości praw wzajemnych między obywatelami", bo trudno jest zrozumieć prawo temu, kto zeń nie korzysta. Wolał już historię biblijną, bo tam ludzie chodzili po ziemi podobnej do jego okolicy, paśli jagnięta i kozy, chociaż mówiło się o nich, że są królami i patriarchami, chronili się przed upałem pod cień figi, jak tu zniwiarze w południe pod cień tarniny, a jeśli by któryś z nich zabił brata swego, Pan Bóg, przechadzający się po piaszczystych polach w ognistym krzaku i doglądający czynów ludzkich, kładł nań piętno, ażeby wszyscy rozpoznali w nim zbrodniarza, chociażby zbrodniarz był patriarchą albo królem. W Silo przy Arce Przymierza służył mały Samuel, pacholę płótnem białym przepasane, tak samo jak wiejscy chłopcy, a Chrystus, Syn Boży, żył w domu cieśli, rozmawiał z kobietami przy studni i mówił do apostołów, którzy nie mogli być niczym gorszym od królów i patriarchów, że cokolwiek uczynią dobrego najmniejszemu z maluczkich, Panu Bogu uczynią, a cokolwiek złego im uczynią, skrzywdzą samego Boga.

Z takim ładunkiem moralnym i z kobiałką, w której niósł bochen chleba, nieco osuszonego sera i parę groszaków, udał się pewnego dnia do Kielc, tym samym traktem, którym kilkadziesiąt lat później miał w wygbraźni Żeromskiego wędrować od Pińczowa Jędruś Radek z „Syzyfowych prac". Piotra od ukończenia szkółki parafialnej dzieliło już parę lat, których starał się nie zmarnować dla swego przyszłego losu, zwłaszcza, że starzy Ściegienni zaczęli patrzeć przez palce na opuszczanie się dorastającego już chłopaka w pomocach gospodarskich, gdy w któreś popołudnie brał do ręki blaszaną latarnię i szedł dawnym szlakiem przez las do Brzezin, aby jako najzdolniejszy dotąd uczeń wyręczać w zajęciach niedołężniejącego i nienawidzącego swej pracy nauczyciela, który swych chłopskich wychowanków nie wahał się nazywać „czarnym ścierwem". Ale szkółka coraz rzadziej była czynna, bo przechodziły i zatrzymywały się różne wojska, łupiąc chłopom paszę i zboże, toteż wieś przyjęła z ulgą powrót do samych już tylko ciężarów pańszczyźnianych, gdy po ostatecznej klęsce Napoleona i Kongresie Wiedeńskim znalazła się w granicach Królestwa Polskiego, pod berłem carów rosyjskich. Czerwona tarcza z białym orłem polskim miała już teraz miejsce jedynie na piersiach czarnego orła rosyjskiego o dwu głowach, bo tak wyglądał odtąd herb Królestwa Polskiego.

Była to sprawa doniosła dla losów narodu jako kolejne w jego dziejach nieszczęście, ale Piotr na równi z innymi ludźmi swej wsi nie odczuł tego jako sprawy własnej, skoro i ta nic nie zmieniła w stosunkach miejscowych. W szereg lat później znalazł u mistrza i przewodnika swych myśli i uczuć, francuskiego księdza Félicité de Lamennais, słowa które obroniły chłopa przed zarzutami, że był obojętny na losy ojczyzny, a oskarżały tych, którzy mu te zarzuty stawiali: „Obora, w której jedzą i śpią bydlęta robocze, nie jest ojczyzną".

Nowy herb Królestwa Polskiego ujrzał Piotr ponad wejściem do wojewódzkiej szkoły kieleckiej i wszedł pod nim do wnętrza piętrowego gmachu nie bez zażenowania, ale z determinacją człowieka, który mało przeszkód uważa za nieprzezwyciężone. Szedł krokiem niepewnym, bo nie przywykł do chodzenia po schodach i kamiennych posadzkach, a poza tym uciskał go piasek, który niedokładnie otrzepał z nóg, kładąc buty dopiero pod samym miastem. Niepohamowany śmiech ogarnął wszystkich, gdy Piotr ukazał się na korytarzu i stanął bezradny wobec wielu drzwi i twarzy. Na tle tych ludzi, ubranych jak dziedzic z Bilczy i oczekujących dostojnie z synami przed wejściem do kancelarii szkolnej na swą kolejkę, szesnastoletni wyrostek chłopski w zgrzebnych portkach do połowy łydek, słomianym kapeluszu na głowie i z kobiałką na lewym ramieniu zdawał się wyglądać tu w istocie dość nie na miejscu, mógł więc budzić podejrzenia, że poszukując okazji do sprzedania nabiału w dzień nietargowy przez brak rozgarnięcia trafił do szkoły wojewódzkiej zamiast do któregoś z mieszkań prywatnych.

— Czego tu chcesz, chamie? — huknął nań patrolujący po korytarzu woźny, przekrzykując wzrastający śmiech obecnych. — Tu jest szkoła wojewódzka, a nie rynek!

Piotr doznał na chwilę uczucia strachu, ale natychmiast podniósł się w nim silny gniew, który ułatwił mu śmiałość odpowiedzi.

— Kto przychodzi do proboszcza — rzekł z gwarową artykulacją, ale porządnie budując zdania — ten nie ma nic do gadania z kościelnym. A ja przyszedłem do dyrektora, aby się zapisać do szkoły wojewódzkiej. Tam widzę napis „kancelaria", tam mnie zawołają, więc będę czekał.

Czekał tak przez kilka dni z rzędu, żywiąc się zapasami z kobiałki, pijąc twardą wodę ze studni miejskich i sypiając na stopniach kolegiaty, gdzie ze swą śmiesznością i paroma groszakami czuł się w trzechtysięcznym podówczas mieście, które wydawało mu się wspaniałe i groźne, bezpieczny i nietykalny jak pielgrzym chrześcijański wśród niewiernych. Dopiero gdy zdołał odpowiedzieć na wszystkie pytania i uczynić zadość wszystkim formalnościom zapisu, spostrzegł z przerażeniem, że jest samotny i bezdomny w tym mieście, które jako ówczesna stolica gubernii krakowskiej Królestwa Polskiego było pełne wojska, władz i dobrze, a zwłaszcza inaczej ubranych ludzi. Poza dniem targowym i ustalonymi miejscami strój chłopski stanowił tu piętno przeznaczone w Starym Testamencie dla Kaina, to też Piotr trzymał się w pobliżu stojącej na wzgórzu kolegiaty i często spoglądał ku południowi na leśiste góry, za którymi leżała rodzinna Bilcza, mała i uboga, pasierbica natury i bękart dla idącej ze dworu sprawiedliwości ludzkiej, ale pozwalająca schronić się w środowisku „czarnego ścierwa" przed śmiesznością, która jest czymś gorszym niż głód, bo w społeczeństwie kostniejącym obyczajowo pod nakazami prawodawstwa stanowego istnieje na nią mniej środków zaradczych niż na głód. Piotr nabrał przekonania, że ludzie tutejsi krzywdzą Boga, skoro krzywdzą jego, jednego z maluczkich, zaczął więc patrzeć na nich z wyższością człowieka, który lepiej zna i wypełnia przykazania Boże. To było jego pierwszym i smutnym środkiem zaradczym.

*

W ciągu sześciu klas kieleckiej szkoły wojewódzkiej, bo tyle ich podówczas szkoły średnie liczyły, atmosfera pośmiewiska i przydomek „chama" były stałymi towarzyszami jego życia, mimo że dzięki pomocy domu, polegającej na dosłownym odjęciu sobie od ust oraz dzięki własnym wysiłkom upodobnił swój ubiór do reszty uczniów. Zwolna wyzbywał się artykulacji gwarowej, zachowując jednak skłonność i upodobanie do pewnych słów i zwrotów, w których pobrzmiewały dźwięki chłopskie jak uderzenie podkutego buta o kamień. Był odosobniony swym pochodzeniem, bo nawet paru synów rzemieślniczych z miasta stanowiło wyższą odeń kategorię.

*

Mimo tej atmosfery Piotr był cenionym uczniem, ale nikt tego nie był skłonny przyznać oficjalnie. Korzystano wszakże z jego pomocy, gdy nadchodziły gorętsze momenty szkolne, ale czyniono to w ten sposób, jak gdyby wyświadczano łaskę chamowi i dawano do poznania, że cham dostępuje zaszczytu, udzielając swych gruntowniejszych wiadomości synom urodzonych i bogatych. A Piotr chętnie przyjmował tę rolę, bo dawała mu ona często posiłek i kąt w cudzych domach, bez czego musiałby umrzeć z głodu lub wrócić na pańszczyźniany zagon, już obarczony wtedy piętnem śmieszności i w swym własnym środowisku, które by uznało, że wtykał nos na pańskie pokoje, więc mu pokazano jego właściwe miejsce. Od dawna Piotr zmodyfikował swój pierwszy środek zaradczy na śmieszność i porzucił samotną dumę, że lepiej niż inni zna i wypełnia przykazania Boże, za ostatnich bowiem lat swego pobytu w kieleckiej szkole wojewódzkiej rozpoznał wyraźnie, że to samo przekonanie żywi wiele innych ludzi, którzy postępują źle, należy więc urządzenia Boskie odróżnić od urządzeń ludzkich. „Nieszczęściem dla Ludzkości — pisał w „Złotej Książeczce" — żeśmy przywykli wszystko bezmyślnie woli Boga przypisywać, spuszczać się na wolę Boga i ukaranie ludzi za niecne postępowanie z ludźmi Bogu przekazywać. Z takiego usposobienia społeczeństwa korzystają źli ludzie..."

Z takim ładunkiem moralnym opuścił w r. 1823 wojewódzką szkołę kielecką, uzyskawszy chlubny patent maturalny, uprawniający go do wstąpienia na uniwersytet albo do pójścia drogą kariery urzędniczej, bo przecież urzędy przedpowstaniowego Królestwa Kongresowego pozostały w rękach polskich. Dla braku jakichkolwiek środków materialnych, związanych chociażby z tak kosztownymi podówczas przejazdami, studia uniwersyteckie nie wchodziły dla Piotra w rachubę, ale i kariera urzędnicza nie stanęła otworem dla chłopskiego syna, była bowiem pisaną i niepisaną zmową społeczną zastrzeżona dla wszystkich lepiej odeń urodzonych, chociaż wielu spośród nich jego właśnie pomocy zawdzięczało przebrnięcie przez trudności ocen i egzaminów. Próbował krótko paru dróg, wyczekując pod drzwiami miejscowych dostojników i kłaniając się na wszystkie strony, ale nikt nie wykazał tyle nawet uprzejmości, aby go pocieszyć obietnicą. Odmawiano wręcz, nie kryjąc powodów. U jednego z dygnitarzy, który pozwolił mu dłużej mówić, Piotr przytoczył urządzenia arystokratyczne starożytnej Sparty, gdzie nawet jeniec wojenny z kraju barbarzyńców, nie mówiąc już o własnym helocie, którego położenie społeczne tyle wykazywało podobieństw do sytuacji pańszczyźnianego Spartiatów, o ile tak się złożyło, że odebrał przeznaczone dla nich wychowanie. Dygnitarz pochwalił go z uśmiechem, że tak wiele wiadomości wyniósł ze szkoły, nie omieszkał jednak dodać, że nie żyjemy wśród legend starożytności, lecz w wieku dziewiętnastym, który ma inne pod tym względem pojęcia, a gdyby zresztą chciano stosować się do wzorów starożytnych, to musiano by urzeczywistniać i owe śliczne bajki, w których pasterze żenią się z królewnami, do czego Piotr chyba nie ma pretensji.

Wtedy Piotr powrócił niemal do punktu wyjścia, odbył bowiem smutną drogę piechotą do Bilczy i przyjął tam stanowisko nauczyciela w świeżo uformowanej szkółce ludowej, jeszcze mniejszej, niż ta, którą sam ukończył swego czasu w Brzezinach. Zarabiał co prawda na życie i nie był nikomu ciężarem, ale nie mógł również w niczym pomóc podupadającym już na siłach rodzicom, tyle, że popchnął do nauki młodszego brata Karola, który później został geometrą.

Lata szkolne, podczas których zjawiał się w domu jedynie na krótki pobyt wakacyjny, oderwały Piotra do pewnego stopnia od środowiska, ale zarazem zaostrzyły jego wzrok na niedolę wiejską, napatrzył się bowiem w międzyczasie na ludzi, dla których walka o byt sprowadzała się do wysiłków wokoło udogodnienia własnego życia i wychowania własnych dzieci. Ci ludzie mieli dobre stanowiska rządowe, domy z firankami i kwiatami w oknach, gromadzili się wieczorem w zajeździe na pogawędkę przy piwie, a ich dzieci biegały z kółkami po ulicach tak samo jak dzieci pańskie po dróżkach ogrodu przy dworze w Bilczy. Ci ludzie mogli i umieli dochodzić swych praw, gdyby im ktoś zechciał odebrać plon ich pracy. A tymczasem z chłopskich zagród, na które znowu wypadło mu patrzeć, wychodzili o świcie gromadami ludzie do pracy na cudzej roli, a wracali wśród zmierzchu z pustymi rękoma, jak gdyby po drodze do domu napadł ich rabuś i wydarł im plon całodziennej pracy, aby pomieścić go w swoich stodołach. „A lud do tego stopnia zgłupiał — żalił się już jako działacz — spodlał, zezwierzęciał, że sam sobie kajdany nakłada, sam siebie knutem rani, męczy; sam na siebie katów karmi, odziewa i tym lepiej ich dozwala wynagradzać, im lepiej oni rózgami go ćwiczą, smagają, katują i obdzierają!..." Czyż nie ma na to ratunku?

Podówczas Piotr wiedział już, że taki ratunek istnieje i że nie należy do marzeń tak nieosiągalnych jak Królestwo Boże na ziemi. Chodzi tylko o to, aby człowiek zdecydował się poprawić działanie stworzonej przez siebie okrutnej machiny społecznej. Ziemia, którą chłop uprawia od wieków jako swoją, winna stać się jego prawną własnością, wolną od obciążeń w czynszach, robociźnie i daninach. Tak już uczynił swego czasu Stanisław Staszyc, uwłaszczając chłopów w starostwie hrubieszowskim, a w tym samym 1823 roku, w którym Piotr opuścił szkołę wojewódzką, tak samo uczynił rząd pruski wobec wszystkich chłopów polskich swego zaboru, o czym głuche wieści przychodziły zza dalekiego kordonu granicznego. Ale tu lud porażony jest ślepotą na własną niedolę i boi się o niej mówić, jak gdyby ustalenie jej przyczyn było równoznaczne ze zbrodnią podpalenia dworu, za którą ciężko przyszłoby odpowiedzieć.

Piotr próbował tym różnym Adamczykom, Brzozom i Czubkom tłumaczyć, na czym polega zło urządzeń społecznych w odniesieniu do chłopa, ale gdy raz w gronie kobiet i mężczyzn, zgromadzonych nad łóżkiem jego chorej matki, powiedział, że zły dziedzic zamiast tytułu jaśnie pana, zasługuje na miano bezkarnego rozbójnika, odsunięto się odeń jak niegdyś stary Ściegienny odsunął się od napoleońskiego legionisty, który mówił o równości i braterstwie między ludźmi. Gdybyż miał stanowisko, które by kazało tym ludziom wierzyć w jego słowa bez względu na ich śmiałość! Gdybyż był na przykład księdzem! Wtedy właśnie po raz pierwszy pojawiła się u Piotra niejasna jeszcze i niezdecydowana myśl o kapłaństwie.

Chęciny — Zamek

Kościół w Brzezinach

Wincenty Styś

WSIE SPÓŁDZIELCZE

(Na Dolnym Śląsku)

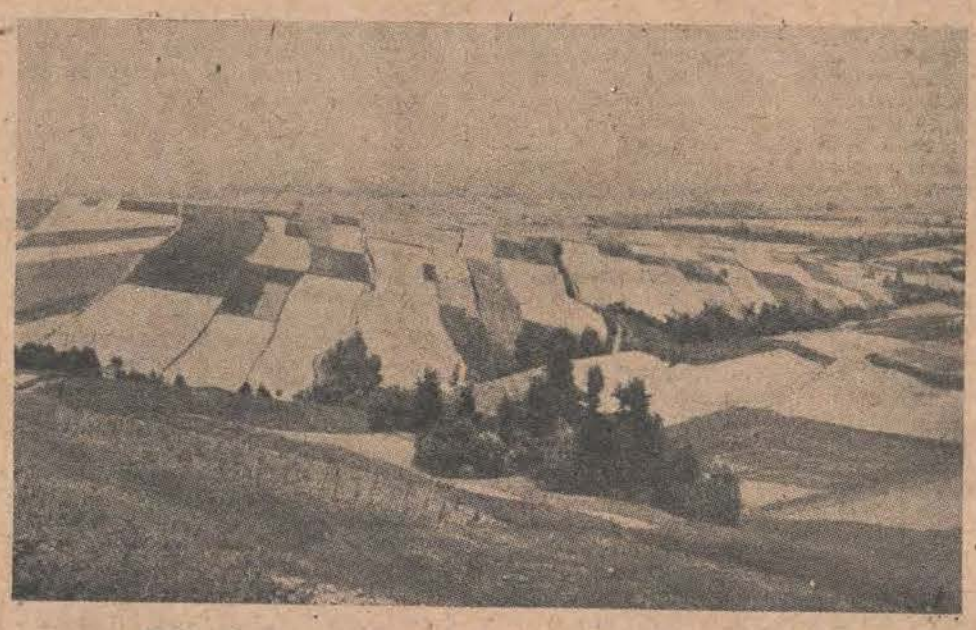

Widok pól z góry husowskiej. W oddali wieś Markowa i Gać.

I. PRÓBA SPOŁECZNEJ GOSPODARKI

Już w ciągu pierwszego roku akcji osadniczej na Dolnym Śląsku zostały objęte przez chłopów polskich prawie wszystkie gospodarstwa indywidualne poniemieckie, które posiadały budynki w stanie zdatnym do użytku. Napływający w dalszym ciągu osadnicy mogli się wobec tego lokować już tylko na folwarkach. W tym właśnie czasie Ministerstwo Ziem Odzyskanych zatwierdziło statut dla spółdzielni parcelacyjno-osadniczych, opracowany przez Radę Naukową i powołało do życia rady społeczne, mające kierować prądem spółdzielczego osadnictwa.

W lecie 1946 r. zaczęły się w województwie wrocławskim osiedlać pierwsze zespoły zorganizowane jako spółdzielnie. Do chwili obecnej objęły one 93 majątki o łącznej powierzchni 19,749 ha. Osiedliło się w nich 1 497 rodzin liczących razem 5.927 głów. Liczba zarejestrowanych sądownie spółdzielni wynosi 59. Jest ona mniejsza od liczby majątków, gdyż istnieją dwie duże spółdzielnie, z których jedna posiada 14, a druga 22 majątki. Niezależnie od spółdzielni zarejestrowanych, grupy parcelacyjne, liczące po 6—10 rodzin, objęły dalszych kilkadziesiąt majątków. Z powodu za małej liczby członków nie mogą się one zarejestrować. Gospodarują jednak przeważnie według tych samych zasad, co spółdzielnie. Tak więc blisko 2000 rodzin liczących przeszło 7000 ludzi, posiadających około 1000 koni i 1500 sztuk bydła rogatego, przysporzyła Dolnemu Śląskowi dotąd akcja spółdzielczego osadnictwa. W porównaniu z ogólną liczbą rolników polskich na tym terenie, która przekroczyła już 700.000 głów, nie jest to wiele. Ale właściwie trudno było wiele więcej zdziałać na tym odcinku. Spośród majątków przeznaczonych dla spółdzielni osadniczych większość zajęta jest po dziś dzień przez tymczasowych dzierżawców różnego rodzaju i tylko stopniowo przekazywana jest na rzecz osadnictwa. Co było wolne, to zostało obsadzone, jeżeli tylko istniały jakie takie pomieszczenia dla ludzi i inwentarza. Chłop nasz nie miał oczywiście pod tym względem za wielkich wymagań, lokując się w wielu wypadkach nawet wśród ruin.

A więc nie z uwagi na swą masę, ważne są spółdzielnie parcelacyjno - osadnicze. Doniosłość ich leży raczej w innej płaszczyźnie. Dla ekonomisty i socjologa są one niezmiernie ciekawe, jako próba społecznej gospodarki w rolnictwie.

Przystępując do krótkiego omówienia zrobionych przez spółdzielnie doświadczeń, muszę zaraz na samym wstępie oświadczyć, iż nie przedstawiają one jednolitego typu. Wprawdzie wszystkie opierają się na tym samym statucie, lecz jego ramy wypełnione zostały różną treścią, zależnie od pochodzenia osadników i okoliczności, w jakich spółdzielnie powstawały.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że nie istnieje ani jedna spółdzielnia, która byłaby założona przez chłopów-repatriantów zza Bugu i Sanu. Pojedyńczo można ich wprawdzie spotkać w paru spółdzielniach, do których zagnał ich na tej czy innej drodze los, ale nie było wypadku, aby zwarta grupa repatriancka, nieinteligencka i nieżydowska, zakładała spółdzielnie. Złożył się na to cały szereg przyczyn. Po pierwsze repatrianci znalazłszy się dosyć wcześnie na ziemiach odzyskanych zdążyli przeważnie osiąść w indywidualnych gospodarstwach. Po wtóre, stali oni i stoją na stanowisku, iż Rząd ma wobec nich zobowiązanie dostarczenia im indywidualnych zagród, a więc wdawanie się w spółdzielnie byłoby osłabieniem ich pozycji. Po trzecie ta kategoria osadników, oznaczająca się panicznym wprost lękiem przed kołchozem, podejrzewała spółdzielnie, że są one jakimś pierwszym do niego krokiem. Toteż tam, gdzie repatrianci znaleźli się z konieczności na majątku z powodu braku indywidualnych gospodarstw dla nich, zaczynali od podziału ziemi na indywidualne gospodarstwa i nie prędzej brali się do roboty, aż granice ich zostały dokładnie wytyczone. Do sąsiednich spółdzielni odnosili się zdecydowanie wrogo, wymyślając ich członkom od kołchoźników i wyrządzając im niekiedy szkody. Obecnie nastawienie to zmienia się jednak na lepsze.

Tak więc spółdzielnie parcelacyjno - osadnicze są dziełem przesiedleńców z województw centralnych i reemigrantów z Niemiec oraz Francji.

Można wśród nich odróżnić następujące trzy grupy:

1. Spółdzielnie, w których tak roślinna jak i hodowlana produkcja prowadzona jest indywidualnie.
2. Spółdzielnie, które prowadzą wspólnie produkcję roślinną a indywidualnie hodowlaną.
3. Spółdzielnie prowadzące wspólnie tak produkcję roślinną jak i hodowlaną.

2. SUMA INDYWIDUALNYCH WYSIŁKÓW

Ad. 1. Przykładem tego typu jest duża spółdzielnia Stępień w powiecie Oleśnickim, obejmująca 22 majątki, na których osiedliło się 326 rodzin głównie z powiatu tarnowskiego. Objąwszy majątki zdewastowane, nieobsiane, bez inwentarza i ze zniszczonymi częściowo budynkami, zarząd tej spółdzielni stanął na stanowisku, że potrzebną do zagospodarowania tak lichych obiektów energię i skrzętność wydobędzie z osadników tylko wówczas, jeśli od razu wyznaczy każdemu z nich działki indywidualne. Tak zrobiono i rezultat potwierdził oczekiwania. Osadnicy wzięli się z miejsca do wytężonej pracy. Prawie każdy, wiedząc że tak będzie spał, jak sobie pościele, dobywał z siebie ostatnich sił, by zaorać i zasiać jak największą ilość odłogów. Toteż już w roku gospodarczym 1946/7 spółdzielnia wykazała wysoki procent zasiewów. Przekazawszy od razu poszczególnym osadnikom produkcję roślinną i hodowlaną, spółdzielnia ograniczyła się do obsługiwania ich indywidualnej gospodarki. Wzięła więc na siebie reprezentację ich interesów wobec władz i instytucji gospodarczych, zwalniając ich przez to z wielu trosk i straty czasu, a uzyskując dla nich więcej, niż mogliby sami uzyskać. Zabiegi o bydło, konie, traktory, kredyty, pomoc budowlaną, nawozy itd. wszystko to należy do spółdzielni. Utrzymuje ona własną stację traktorową i warsztat reparacyjny, a także prowadzi na rachunek wspólny 2 gorzelnie, które zastała na swych majątkach w stanie ruiny i odbudowała. Na każdym z jej folwarków jest rada folwarczna, która ma dbać o budynki i większe maszyny, stanowiące wspólną własność. Trudności były duże, osiągnięcia też są nie małe. Co prawda spółdzielnia korzysta z rzadkiego przywileju, mając na swym czele człowieka, którego każda inna mogłaby jej pozazdrościć. Prezes jej ob. Goleń, wychowanek i członek ZMW „Wici", ma ukończoną średnią szkołę rolniczą w Miłocinie, a potem długoletnią praktykę instruktorską i gospodarską. Jego przykład, gospodarność, tak i energia zdziałały już wiele dobrego dla spółdzielczego osadnictwa w powiecie oleśnickim.

3. NA WSPÓLNY RACHUNEK

Ad. 2. Do tej grupy należą przede wszystkim spółdzielnie założone w liczbie 5 przez osadników pochodzących ze wsi Husów w powiecie łańcuckim, oraz inne spółdzielnie utworzone w różnych powiatach na lewym brzegu Odry w r. 1946 przez chłopów z powiatów tarnowskiego, bocheńskiego, limanowskiego i nowosądeckiego. Osadnicy zastali tu majątki zagospodarowane, posiadające przy tym część swego inwentarza martwego, a nawet po kilka sztuk koni i bydła. Zasoby te, przeszedłszy na własność wspólną osadników, stały się zalążkiem spółdzielczej ich gospodarki. Po złączeniu ich z przywiezionymi z województw macierzystych inwentarzami i przy pomocy traktorów państwowych można było wykonać zasiewy na całym areale. Ponieważ traktor domagał się pracy na wielkich niwach, ponieważ porzucenie istniejącego płodozmianu folwarcznego przy niedostatku obornika i nawozów sztucznych groziło wielkimi stratami, zdecydowano się prowadzić w dalszym ciągu folwarczną gospodarkę na wspólny rachunek, przyjmując ilość włożonej przez każdego osadnika pracy za kryterium podziału dochodów. W dziedzinie produkcji roślinnej tylko odnośnie do buraków zrobiono w niektórych spółdzielniach wyjątek. Ponieważ uprawa tej rośliny wymaga bardzo wielkiej ilości pracy, spółdzielnie tego typu nie chciały przeważnie brać jej na swe barki, przekazując obsiane przez się burakami pola osadnikom do indywidualnej pielęgnacji, wzamian za zwrot kosztów związanych z uprawą mechaniczną, nawożeniem i zasiewem. Na odcinku hodowlanym indywidualizacja poszła od początku dalej. Gospodynie, które przywiozły ze sobą swe krowy, nie chciały ich oddać za żadne skarby na rzecz spółdzielni. Podobnie było z końmi i resztą przywiezionego inwentarza. To też każdy korzysta zeń indywidualnie. Wspólną spółdzielczą własnością stały się tylko te zwierzęta, które ewentualnie zastano na folwarku. Obornik wobec spółdzielczej uprawy pól idzie na wspólną gnojownię. Właściciele indywidualni koni, pracujący nimi na polach spółdzielni, otrzymują za to ustalone przez zarząd wynagrodzenie dzienne. Spółdzielnie tego typu osiągnęły w roku 1946/7 mimo nieurodzaju poważne sukcesy. Są one jednak połączone z pewnymi trudnościami, o których później będzie mowa.

4. NAJWIĘKSZY STOPIEŃ ZESPOLENIA

Ad. 3. Spółdzielnie prowadzące wspólnie tak produkcję roślinną jak i hodowlaną osiągnęły najwyższy stopień zespolenia i zbliżyły się najbardziej do tego idealnego wzoru, który mieli na myśli twórcy wzorowego statutu. Do grupy tej należą spółdzielnie założone przez chłopów ze zniszczonych terenów przyfrontowych powiatu jasielskiego, którzy się osiedlili w powiecie dzierżoniowskim. Tutaj też zaliczyć należy wszystkie spółdzielnie reemigrantów z Niemiec i Francji. Ludzie ci nie przywieźli ze sobą żadnego inwentarza żywego ani martwego. Wszystko, co mają, albo otrzymali od władz osiedleńczych, albo zakupili z dochodów spółdzielni, głównie za cukier premiowy, uzyskany dzięki uprawie buraków.

Jeśli chodzi o reemigrantów, to ponieważ byli oni przez kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat robotnikami rolnymi, wżyli się bez trudu w rytm spółdzielczej gospodarki. Gospodarka ta zapewniła im bez porównania lepsze utrzymanie niż to, które było ich udziałem ostatnio w Niemczech, czy nawet Francji. Korzystają z pełnego demokratycznego samorządu, nikt nie poniża ich godności narodowej. Pracują więc na ogół chętnie w swych spółdzielniach, zadowoleni z tego, że przybywa im koni, krów, cieląt itd. Ale inwentarza ciągle jeszcze jest za mało, aby można było przystąpić do większego zindywidualizowania gospodarki. Nie sposób rozdzielić 7 krów między 15 rodzin. Dzielić można tylko mleko od nich. I tak się robi. Nikt nie podnosi do bydła i koni indywidualnych pretensji, gdyż nikt ich za swe pieniądze nie kupował. Tylko świnie bywają na niektórych spośród tych spółdzielni indywidualnie trzymane. We wszystkich spółdzielniach tej grupy przewiduje się przejście na indywidualną gospodarkę z chwilą, gdy pogłowie inwentarza żywego dojdzie do tej liczby, by każda rodzina mogła mieć swego konia i krowę, oraz minimum niezbędnych do obróbki pola narzędzi.

Jeżeli gospodaruje się według opisanego wyżej sposobu, to dlatego, że uważa się go w przejściowym najtrudniejszym okresie za najlepszy. Należy zaznaczyć, że władze nie wywierają najmniejszego nawet nacisku na osadników w sprawie zasad organizacyjnych ich gospodarowania. To też każdy zespół wybiera sobie taką formę, która lepiej odpowiada jego warunkom i potrzebom.

5. MECHANIZM GOSPODARKI SPÓŁDZIELCZEJ

Jak przedstawiają się dochody i stopa życiowa osadników w poszczególnych spółdzielniach? — istnieje pod tym względem duża nierówność. W tych spółdzielniach, które objęły majątki zagospodarowane, z zapasami i jakimiś resztkami inwentarza, dochody są nienajgorsze i stopa życiowa jest wyższa niż w rodzinnych wioskach w województwie rzeszowskim i krakowskim. Spółdzielnie te miały za co wykonać najważniejsze inwestycje, opłacić podatki itd. Natomiast tam, gdzie objęto ziemię bez zasiewów i zapasów, lub z małą ich ilością, sytuacja jest bardzo trudna. Spółdzielnie takie są zadłużone na remont budynków i maszyn, orkę traktorami, nawozy, nasiona, konie, podatki itp. Znam spółdzielnie, które płacą za dzień roboczy 12 kg zboża i takie, co płacą tylko 2 kg. W tych ostatnich stanowisko zarządu jest bardzo trudne. Członkowie są niezadowoleni, narzekają, buntują się a nawet wracają tam, skąd przyszli. Ale na szczęście są to rzadkie wypadki. Większość zdaje sobie sprawę z tego, że każdy początek jest trudny i że trzeba przetrzymać.

Jak funkcjonuje spółdzielcza gospodarka? Otóż ma ona swe mocne i słabe strony. Mocną jej stroną stanowi istniejąca w spółdzielniach organizacyjna hierarchia, podział pracy, łatwość użycia maszyn na polu i w zagrodzie, uwolnienie poszczególnego osadnika od rabującego czas kontaktowania się z władzami i placówkami gospodarczymi i co najważniejsze, oddanie kierownictwa najczęściej w ręce najdzielniejszych członków grupy. Słabą natomiast stroną jest nieodpowiedni stosunek części członków do pracy w spółdzielni. Bo, gdy jedni nie tylko sami pracują szczerze, ale i drugich podganiają, to inni starają się jak mogą unikać wysiłku. Ostatni wychodzą na pole i pierwsi zeń schodzą, a podczas pracy starają się także nie przemęczać zbytnio. Działa to wkońcu i na pierwszych zniechęcająco, widzą oni bowiem, że muszą pracować za siebie i za innych. Wobec tego nie można się dziwić, że właśnie ze strony najlepszych pracowników spółdzielni wychodzi najczęściej inicjatywa do indywidualizacji gospodarki.

6. O WZGLĘDY DLA WSI SPÓŁDZIELCZYCH

Jest wysoce prawdopodobne, że w niedalekiej przyszłości przeważna część spółdzielni przejdzie na system przyjęty od początku przez osadników w Stępieniu i innych majątkach powiatu oleśnickiego. Gospodarka zostanie zindywidualizowana, a spółdzielniom pozostanie tylko troska o budynki i wspólne maszyny. W tym kierunku działa także skutecznie nacisk śruby podatkowej. Gospodarze indywidualni płacą z jednego hektara ziemi niższy podatek niż spółdzielnie. Jest to następstwem silnej progresji podatku gruntowego, wymierzonej przeciw kapitalistycznemu rolnictwu. Ponieważ obszarników już nie ma, podatek ten godzi swym ostrzem w spółdzielnie. Traktowane jako całość płacą one najwyższą stawkę, która wraz z wpłatami na przymusowe oszczędzanie dosięgnie w bieżącym roku 24 proc. dochodu brutto z ziemi, czyli praktycznie biorąc może spółdzielniom zabrać cały dochód netto, a w razie nieurodzaju nawet część dochodu z pracy. Jeżeli na tym odcinku nie zajdzie w najbliższym czasie radykalna zmiana, spółdzielcza gospodarka na ziemiach odzyskanych zostanie zdławiona w zarodku. Na całym świecie spółdzielnie korzystają z ulg podatkowych. Powinny więc i u nas z nich korzystać. Państwowe Nieruchomości Ziemskie mają podatkową stawkę 8 proc., a jednak przeważnie nie wywiązują się z tego obowiązku, gdyż nie są w stanie, choć Państwo inwestuje w nich wielkie sumy. Spółdzielnie muszą się same inwestować i czynią to kosztem stopy życiowej osadników. Nie byłoby więc dla nich żadnym nieuzasadnionym przywilejem, gdyby płaciły takie same stawki jak PNZ. Jest to sprawa wielkiej doniosłości, podatek gruntowy bowiem wisi nad spółdzielniami jak gradowa chmura i szkodzi im przy swej obecnej wysokości bardziej, niż jakiekolwiek inne trudności.

Ogólnie biorąc dorobek omawianych spółdzielni jest pozytywny. Prawie wszędzie zdołały one zagospodarować przydzieloną im ziemię, poprawić budynki, powiększyć inwentarz żywy i martwy. Pola ich dzięki lepszej mechanicznej uprawie wyróżniają się dodatnio od większości pól indywidualnych rolników. Jakąkolwiek będzie dalsza ich przyszłość, jedna rzecz nie ulega wątpliwości, a mianowicie to, że oddały one osadnictwu na obszarach Dolnego Śląska cenną usługę.

Wykop ziemniaków w spółdzielni Mianów.

Józef Putek

DO RADYKALIZMU*)

Sejm galicyjski

Dziady, żebracy galicyjscy

Dopiero wybuch mechanicznej obstrukcji ruskiej w sejmie, nadał sprawie ordynacji wyborczej inne znaczenie i bieg. Obstrukcja ta trwała miesiąc, od października do listopada 1910 r. Posłowie ruscy grali na trąbach, bili w bębny, świstali i wyrządzali taki piekielny hałas w Izbie sejmowej, że nikt nikogo ani słyszeć, ani wyrozumieć nie mógł. Większość polska uchwalała na migi „budżet", a stronnictwo ludowe uczestniczyło również w tej komedii „obrzędowania". Poseł dr Stefczyk, Kędzior, Lewakowski, Gipser, Długosz, pilnowali, by „solidarność narodowa" górowała. Do takiego skandalu politycznego doprowadził upór reakcji, która nie chciała dać Rusinom ani 1/4 części mandatów poselskich do sejmu. Przez rok 1911 wleczono sprawę również bezskutecznie. W styczniu 1912 r. skandal obstrukcyjny znowu się powtórzył i trwał do połowy lutego. Obstrukcja ruska zaciążyła także na obradach parlamentu. Skutkiem tego rząd centralny wdał się w tę sprawę ze względu na interes państwowy. Chodziło mu o normalne funkcjonowanie parlamentu jak i o uspokojenie kraju, który jako pograniczny, wobec niepewnej sytuacji międzynarodowej, mógł w polityce państwowej odegrać jako teren wojenny olbrzymią rolę. To też w marcu 1912 r. doprowadzono wreszcie do zawarcia kompromisu i zdawało się, że reforma wyborcza ruszy z miejsca, aliści utrudnienia ze strony endeków i centrowców uniemożliwiły wykonanie tego dzieła. Sprawa znów odwleczona została do grudnia 1912 r. Dopiero w Wiedniu podjęte pertraktacje z Rusinami przez trzy stronnictwa polskie, tworzące tak zwany „blok namiestnikowski", tj. ludowców, demokratów, i prawicę narodową, po wyłączeniu z pertraktacji endeków i centrowców, poszły raźniej i w marcu 1913 r. kompromis był gotowy; Stapiński traktował ten kompromis jako ostatnią choć beznadziejną próbę pojednania, jakkolwiek nie wierzył, by w Sejmie kompromis uzyskał przychylność i głosy stronnictw reakcyjnych: autonomistów, centrowców i endeków. Dlatego też, licząc się z rozwiązaniem Sejmu jako niezdolnego do załatwienia tej najważniejszej w danym momencie sprawy państwowej, zaczął przygotowywać zmianę kursu w polityce stronnictwa.

W planie jego było obalenie reakcyjnego gabinetu Stuergha, a to stałby się mogło przez poderwanie mu fundamentu jaki miał w Kole polskim. Gdyby 24 posłów ludowców wystąpiło z Koła polskiego, wartość Koła jako podpory rządu Stuergha stopniałaby zaledwie do kilkunastu głosów. Stapiński liczył się z tym, że ster rządów objąłby wówczas przychylny ludowcom i reformie wyborczej gabinet Bilińskiego.

Wystąpienie z Koła i sprowadzenie do nicości endeków i konserwatystów nie tylko ułatwiłoby walkę wyborczą do Sejmu ale zelektryzowałoby i pobudziło masy ludowe do ponowienia tradycyjnej walki z reakcją i skonsolidowałoby lud pod sztandarem stronnictwa ludowego.

Tą myślą podzielił się Stapiński najpierw z Długoszem, namawiając go do zgłoszenia dymisji. Ale Długosz tego zrobić nie chciał. I tu zaszła pierwsza główna przeszkoda w wykonaniu planu. Oczywiście o tym, żeby hr. Lasocki, czy hr. Rej wystąpił z Koła polskiego mowy być nie mogło. w każdym razie do realizacji tego planu gotowa była zaledwie 1/3 część klubu (Stapiński, Bomba, Madej, Kubik, Łyszczarz, Ruebenbauer, Wróbel, Tetmajer i Myjak), oprócz „wtyczek", także przeciwny był tej myśli Bojko, Średniawski, a Witos swoim zwyczajem milczał. W tych warunkach plan musiał być zaniechany.

Gdyby była jednak okazała się większość za realizowaniem tego planu, Stapiński nie wahałby się był ani chwili, by go wykonać. Zdecydowany był już wówczas na pożegnanie „prawicowych ludowców" z Długoszem, Rejem i Lasockim na czele.

Na zaniechanie planu przejścia do opozycji wpłynęły także i inne okoliczności. Opozycja ludowców i rozbicie bloku namiestnikowskiego niewątpliwie pociągnąćby musiały za sobą dymisję namiestnika Bobrzyńskiego, której Stapiński sobie nie życzył. Demokraci i prawica narodowa kwestionowali możliwość przyjścia do steru gabinetu Bilińskiego, dymisja zaś Bobrzyńskiego w takich warunkach stałaby się klęską bloku. Doradzali tedy inne wyjście z sytuacji. Zamiast przechodzić do opozycji i ponawiać radykalną taktykę wyborczą, która znów mogłaby w konsekwencji szaleństw walki międzypartyjnej doprowadzić do ubezwładnienia zwycięskiego nawet stronnictwa ludowego, proponowali utrzymanie spoistości „bloku namiestnikowskiego", jednakowoż wzmocnienie jego pozycji na odcinku prasowym celem obrony przed napaściami i celem atakowania jego przeciwników. Namiestnik Bobrzyński już jeden organ prasowy w postaci „Gazety wieczornej i porannej" we Lwowie założył i oddał go do dyspozycji demokratów, chodziło jeszcze o pozyskanie na terenie Krakowa dziennika, który by służył ludowcom. Nadarzyła się wtedy do tego sposobność. Prawica narodowa, jako część składowa „bloku namiestnikowskiego" ofiarowała się Stapińskiemu z udzieleniem potrzebnego kredytu na założenie dziennika w Krakowie. Wydawcą „Kuriera Codziennego" był wówczas Marian Dąbrowski, miał on jednak współwłaściciela, którego chciał spłacić i pozbyć się, to też poszukiwał spólnika z odpowiednim kapitałem. Zaproponował więc Stapińskiemu nabycie połowy tego wydawnictwa, za którą zażądał kwoty stu tysięcy koron, płatnej w trzech ratach. Do wydawnictwa należała bowiem maszyna rotacyjna z przynależnymi przyrządami drukarskimi i biurowymi. Warunki kupna wręczył Stapiński przedstawicielowi prawicy narodowej prof. dr Jaworskiemu, a ten na ich podstawie ułożył i wręczył Stapińskiemu projekt skryptu dłużnego, który brzmiał:

„1. Stwierdzam niniejszym, że otrzymałem od stronnictwa Prawicy Narodowej za pośrednictwem JWP. Władysława Leopolda Jaworskiego tytułem pożyczki kwotę (100.000) stu tysięcy koron na zakupno czasopisma „Ilustrowany Kurier Codzienny" w Krakowie.

2. Pożyczka ta jest bezprocentowa, zwrotna po upływie (10) dziesięciu lat począwszy od dnia dzisiejszego. Pożyczka ta wypłaconą mi zostanie w trzech ratach, a mianowicie a) (40.000) czterdzieści tysięcy koron w dniu dzisiejszym, z których odbioru niniejszym kwituję; b) (40.000) czterdzieści tysięcy koron 15 lutego 1913, c) (20.000) dwadzieścia tysięcy koron 31 marca 1913 r.

3) Przyjmuję do wiadomości, że polityka stronnictwa Prawicy Narodowej opiera się obecnie na następujących zasadach: a) utrzymanie gabinetu hr. Stuergha, b) utrzymanie ministra Zaleskiego i namietnika Bobrzyńskiego, c) utrzymanie obecnej większości w Kole Polskim, d) utrzymanie Prawicy Sejmowej.

Gdyby polityka moja była sprzeczna z tymi zasadami polityki stronnictwa Prawicy Narodowej, **wówczas co do prowadzenia pisma „Ilustrowany Kurier Codzienny" nastąpić ma** między mną a stronnictwem Prawicy Narodowej porozumienie w jednym z następujących dwóch kierunków: a) albo zgodnie ułożymy się, że pismo I. K. C. na czas mojego politycznego działania, sprzecznego z tymi zasadami będzie zachowywało milczenie, b) albo też wolno będzie stronnictwu Prawicy Narodowej wypowiedzieć mi pożyczkę (100 tys.) sto tysięcy koron na (15) piętnaście miesięcy naprzód. w ciągu których będę obowiązanym tę pożyczkę spłacić. To samo prawo wypowiedzenia pożyczki służyć będzie stronnictwu Prawicy Narodowej wtedy, gdyby wogóle do porozumienia nie doszło, lub gdyby mimo porozumienia pismo I. K. C. takowego nie dotrzymało.

3) Gdyby w ciągu lat dziesięciu polityka Stronnictwa Prawicy Narodowej uległa zmianie, natenczas mam być o tem zawiadomiony i nastąpić ma nowe porozumienie między mną a Stronnictwem Prawicy Narodowej — Gdyby do takiego porozumienia nie doszło, wolno będzie obu stronom wypowiedzieć pożyczkę na dwa lata naprzód, w ciągu których zwrócę całą pożyczkę Stronnictwu Prawicy Narodowej.

4) Gdyby w ciągu tych lat (10) dziesięciu pismo I. K. C. popadło w likwidację, wówczas nastąpi oszacowanie, a ja będę zobowiązany zwrócić pożyczkę w wysokości oznaczonej w stosunku do ówczesnej wartości pisma i mojego udziału w jego własności".

Kraków, dnia 22 stycznia 1913.

Jan Stapiński wr.

Organ PPS „Przedświt" ze stycznia 1914 roku pisząc o rozłamie w stronnictwie ludowym, twierdził, że „przez jakieś milczące porozumienie obie walczące strony (tj. stapińczycy i długoszowcy) nie ogłosiły żadnego z tych słynnych dokumentów o winie Stapińskiego". Dziś można stwierdzić, że powyższy dokument nie był publikowany ze względu, iż prof. Jaworski zastrzegł co do jego treści ścisłą poufność, aby uchronić się przed atakami zdecydowanych wrogów ludowców w partiach konserwatywnych.

Natomiast kwitów Stapińskiego, potwierdzających odbiór od niego pożyczki, prof. Jaworski użył prawdopodobnie do potwierdzenia odbioru sum pieniężnych u ministra Zaleskiego lub Stuergha. Sprawa ta nie mogła być wyjaśniona, gdyż w tydzień po dyskusji w parlamencie nad tą sprawą, minister Zaleski zmarł. Ta wędrówka kwitów skompromitowała rząd i prof. Jaworskiego, który też złożył mandat poselski. Wybrano go jednak ponownie.

Projekt skryptu wręczył Stapiński do przejrzenia Dr Janowi Deskurowi, Dr Michałowi Grekowi (wiceprezes stronnictwa ludowego) i Dr Szymonowi Przybyle z prośbą o radę i zaopiniowanie. Wszyscy trzej oświadczyli, że na takich warunkach może Stapiński przyjąć pożyczkę, pozwalają one bowiem na zachowanie niezawisłości stronnictwa i jego osobistej niezawisłości. Wszystkie bowiem zastrzeżenia dotyczą jedynie prowadzenia gazety. W skrypcie nie ma też wzmianki o zmianie programu czy taktyki SL, a jest tylko mowa o tym, jak gazeta ma się w danych sytuacjach politycznych zachować. Przy ponowionych pertraktacjach z Dąbrowskim uzyskano obniżenie ceny do 80.000 koron i w tej wysokości Stapiński z kredytu skorzystał.

Przewidywania, że reakcyjne stronnictwa nie dopuszczą do zmiany ordynacji wyborczej sprawdziły się. Gdy już wszystko przygotowane było do powzięcia uchwały sejmowej o zmianie prawa wyborczego, galicyjski episkopat (z wyłączeniem trzech biskupów obrządku greckiego) wystąpił z orędziem politycznym przeciw projektowi ordynacji wyborczej, zarzucając stronnictwu „prawicy narodowej" popieranie przez taką ordynację radykalizmu politycznego i społecznego. Na to tylko czekali endecy, centrowcy i autonomiści. Z powołaniem się na autorytet biskupów oświadczyli, że wycofują się z kompromisu. W taki sposób sparaliżowali reformę wyborczą, ale też spowodowali rozwiązanie Sejmu. Padł również twórca kompromisu namiestnik Bobrzyński ku największemu zadowoleniu biskupów, którym właściwie w tej rozgrywce chodziło przede wszystkim o utrącenie namiestnika Bobrzyńskiego.

* * *

Upadek Bobrzyńskiego odczuło stronnictwo ludowe. Nowy namiestnik Korytowski, jakkolwiek udawał bezstronnego, gdzie mógł szkodził ludowcom. Dysharmonia w stronnictwie ludowym wspomagała wyprawę endeków po wiejskie mandaty poselskie. Z wyborów sejmowych, odbytych w połowie 1913 r. stronnictwo ludowe wyszło osłabione. Utraciło kilka mandatów w zachodniej Galicji. Zabrała je endecja dla swoich chłopów i dla swoich księży. Utrącała z jednakową zaciekłością tak ludowców „lewych" jak i „prawych". W niżańskim upadł paru głosami hr. Lasocki, zwyciężył ks. Wolanin. Kilku głosami upadł w grzybowskim poseł Cieluch, a zwyciężył ks. Michalik. W kolbuszowskim przeprowadzili endecy ks. Okonia. W okręgu Wadowice — Myślenice, z którego do parlamentu posłowało trzech ludowców, Banaś, Rusin i Średniawski, straciło stronnictwo dwa mandaty sejmowe. Paru zaledwie głosami upadł w wadowickim dotychczasowy poseł Styla, gdyż „ludowiec" poseł Banaś przechylił szalę zwycięstwa na stronę kandydata endeckiego. W myślenickim zwolennicy Średniawskiego, woleli głosować na księcia Lubomirskiego, niż na Baścika, kandydata nauczycielskiego. W bocheńskim upadł dr Kiernik, a wyszedł endecki chłop Pilch, w rzeszowskim, zwanym „kolebką ruchu ludowego" endecy przepchali swego chłopa Tomakę. Nawet Połonek upadł w swej „twierdzy" nowosądeckiej.

Narzucona stronnictwu taktyka przez Długosza, Lasockiego, Stefczyka, polegająca na łaszeniu się koło kleru dała w rezultacie ten wynik, że stronnictwo ludowe kleru nie pozyskało, a endecja przy pomocy kleru ufundowała na wsi nowe stronnictwo klerykalno-ludowe i rozbiła ruch ludowy.

To też wybory te stały się sygnałem ostrzegawczym dla stronnictwa ludowego, że należy z dotychczasowej drogi zejść i przygotować się w inny sposób do nowej rozprawy z wstecznictwem, zmobilizowanym przez endecję. Wiadomym było powszechnie, że nowoobrany sejm będzie miał żywot krótki, zadaniem bowiem jego będzie uchwalenie ordynacji wyborczej, poczem w interesie uspokojenia kraju natychmiast rozpisane zostaną nowe wybory.

Do tych nowych wyborów Stapiński rozpoczął też przygotowania. Zwołane w sierpniu 1913 r. na narady do Krakowa oba kluby poselskie i rada naczelna miały zadecydować o wykonaniu grudniowego planu przejścia do opozycji. Na tych naradach okazało się, jak daleko sięgały wpływy Długosza w stronnictwie. Pierwszym, który w ślad za Długoszem sprzeciwił się przejściu do opozycji, był Dębski. Również i posłowie, którzy jeszcze nie zdołali zakosztować słodyczy mandatu poselskiego, nie chcieli uwierzyć, by za parę miesięcy mieli stracić mandaty i poddawać się nowej ocenie wyborców. Przy sposobności zjazd wyraził serdeczne podziękowanie Długoszowi za pomoc finansową jakiej rzekomo udzielił na wybory. Po raz pierwszy zdarzyło się Stapińskiemu, że przegrał na radzie naczelnej. Głosowanie nad jego wnioskami o przejście do opozycji, wycofanie ministra Długosza z gabinetu Stuergha i wystąpienie z Koła polskiego odroczono do następnego posiedzenia rady naczelnej, którego termin nie został określony.

* * *

Zjazd krakowski zaniepokoił gabinet Stuergha. Gdyby plan wystąpienia z Koła polskiego się powiódł, upadłby nie tylko minister Długosz, ale i cały gabinet Stuergha, tej jedynej ostoi i nadziei klerykałów wszystkich krajów i narodowości w skład Austrii wchodzących. Gdyby nawet ludowcy z Koła nie wystąpili, lecz wygrali wybory pod patronatem Stapińskiego, zachodziła obawa, że po wyborach Stapiński wzmocniony wykona swój plan. Należało tedy zawczasu przeciwnika ubić. Użyto do tego dwóch najbardziej naiwnych politycznie ludzi: Kędziora i Średniawskiego. Premier Stuergh znalazł się w posiadaniu — jak się wyraził poseł Diamant — „wędrujących kwitów" na 80 tysięcy koron z transakcji „Kurierkowej" i kwity te pokazał Kędziorowi, który znowu o tym poinformował Średniawskiego. Ponieważ nic w tych kwitach nie było podane, czego one dotyczą, zaczęto tedy w pokątnych konferencjach szukać związku między tymi kwitami a jakimś aktem politycznym. W czasie gdy Stapiński nabył „Kuriera" podpisywał też kompromis w sprawie reformy wyborczej łącznie z Bobrzyńskim, przedstawicielem demokratów Leem i przedstawicielem Rusinów Lewickim. Skonstruowano więc zarzut, że za te 80 tysięcy złotych Stapiński podpisał „akt sprzedaży" 8 mandatów chłopskich w kurii włościańskiej na rzecz tzw. kurii średniej własności rolnej.

Zarzut ten obmyślony był na naiwność ludzką, gdyż o kurię średniej własności żadnych zasadniczych sporów nie było, godzili się bowiem i Rusini z tych 8 mandatów przyjąć 4 mandaty. W systemie kurialnych wyborów, kuria średniej własności objąć miała probostwa trzech obrządków katolickich. Sprawa ta dyskutowana była w organach partyjnych i te oświadczyły się za przyjęciem takiej kurii, albowiem korzyści z tego były następujące:

1) z kurii włościańskiej wyeliminowany zostawał kler, który nie wchodząc w skład komisji wyborczych, nie głosując razem z chłopami, tracił wpływ na akcję wyborczą w tej kurii;

2) izolowanie kleru parafialnego w osobnej kurii ubijało księże kandydatury w kurii włościańskiej, albowiem w pracy agitacyjnej wystarczyło wskazać na kurię księżą i do niej kandydujących księży z apetytem na mandaty poselskie odesłać. Analogiczną taktykę zastosowała też narodowa demokracja w stosunku do nauczycieli. Proponowała stworzyć kurię nauczycielską, aby w ten sposób postępowe nauczycielstwo odseparować od

*) Patrz początek artykułu: „Cement i ropa" — „Wieś" Nr 11 (140).

włościaństwa przy ubieganiu się o mandaty poselskie. Tę propozycję endecką jednak sparaliżowano.

Kuria średniej własności stała się jedynym orężem reakcjonistów siedzących w stronnictwie ludowym. Po sparaliżowaniu akcji opozycyjnej i utrąceniu Stapińskiego, poseł Bojko w swoich zapiskach twierdzi, że Długosz i tow. nie wtajemniczali go do planów walki ze Stapińskim, ale z ust innych kolegów posłów conieco się dowiadywał. Stapiński jakoś tymi spiskami nie interesował się. „Nadszedł dzień wyborów do delegacji do Budapesztu. Koledzy — pisze Bojko — kupkami po kątach cosik radzą, a p. Jan bije kręgle z Bazylewskim i popija czarną kawę, pewny tego, że jak pragnął, wybiorą go koledzy. Czując, że nie ma się na to, poszedłem do niego, prosząc by przyszedł do klubu i drogę se u kolegów jakoś wygładził. A ten mi na to: „Kubuś, ja tam tylko zajdę, a wszystko będzie dobrze“. Znając jego spryt, odszedłem spokojny. Przybywszy na klub zagaił posiedzenie a w końcu powiedział: „Spodziewam się, że mnie do delegacji wybierzecie“. Ja osłupiałem, gdy wynik głosowania pokazał co innego. Jaś mój ukochany legł jak placuszek. Zbladły p. Jan, powstawszy powiedział: „a skoro tak, to rezygnuję z prezesa klubu proszę sobie wybrać innego“ i wyszedł z klubu. Ja mówię do kolegów: „I cożeście zrobili?“. A oni mi pokazują, co minister Stuergh z nim za szacherki robił itd. Zmartwiony do żywego poszedłem Jasia szukać. Pocieszył mnie, że niebawem Biliński zostanie premierem, a my już pokażemy oponentom. Gdy Biliński premierem nie został, ja mu począł perswadować, że źle zrobił rezygnując z prezesury klubu dla tak błahej przyczyny, wtedy moje bóstwo powiedziało mi szczerze: „Kubuś! ja od dziś dnia nikogo słuchać nie będę, tylko siebie samego!“.

Owe nieudałe wybory do delegacji był to drugi sygnał ostrzegawczy dla Stapińskiego. Przekonał się, że walka przeciw niemu idzie. W walce tej szło nie tylko o niego lecz o linię polityczną stronnictwa. Nie było czasu na zwłokę. Walka podjazdowa już się rozpoczęła. Członkowie Rady Naczelnej otrzymywali pocztą egzemplarze lwowskiego „Monitora“, z których dowiadywali się sensacyjnych szczegółów o aferach finansowych Długosza. Prawicowe pisma nie oszczędzały znów Stapińskiego. Burza wisiała w powietrzu. Stapiński postanowił zwołać radę naczelną. Przed decyzją w tej sprawie zaprosił do siebie na Dębniki działaczy partyjnych młodych, których nikt nie mógł posądzać o spekulowanie na mandaty poselskie, byli bowiem w takim wieku, który ich wyłączał od kandydowania. Ich zapał i ideowość znane były w stronnictwie. Im to oświetlił Stapiński sprawę zatargu z posłami, wtajemniczył ich w sprawę nabycia Kuriera Codziennego i odsłonił rąbek planów na przyszłość. Działacze ci, wypowiedzieli swoje krytyczne uwagi, w interesie zaś ratowania postępowego ruchu ludowego wzięli na siebie obowiązek dopilnowania wysłania delegatów na radę naczelną. Rada naczelna składała się z prezesów zarządów powiatowych i delegatów wybieranych na zjazdach powiatowych, dlatego też przy odpowiedniej pracy w terenie można było zagwarantować zwycięstwo chociażby nawet przeciwko 40 posłom parlamentarnym i sejmowym. Uczestnicy konferencji dębnickiej (Bochenek, Kaźmierczak, Putek, Padło, Grabowski, Krasicki, Sanojca) pracę wykonali solidnie. Na dzień 13 grudnia 1913 r. zwołane zostały narady Rady naczelnej do Rzeszowa. — Przyjechało na nie również bardzo dużo sprawozdawców gazet krajowych i wiedeńskich. Stapiński, gracz polityczny przedstawił się radzie naczelnej w roli „pokutującego grzesznika“, który z obcowania z Długoszem i jemu podobnymi panami wyszedł „czarny jak murzyn“. Przy tej sposobności scharakteryzował metody Długosza, który robił się ofiarodawcą stronnictwa, odbierał za ofiary pieniężne podziękowania od stronnictwa, a równocześnie sumy te odbierał sobie z funduszów dyspozycyjnych. Po takim akcie oskarżenia Długosz był już jako minister „ugotowany“ a dobił się jeszcze sam, opowiadaniem zmyślonej historii o kwitach Stapińskiego i kurii średniej własności rolnej w związku ze sprawą „Kuriera Codziennego“. Był to niebywały skandal, że urzędujący minister obwiniał swoich kolegów ministrów o posługiwanie się uprawianiem korrupcji na koszt funduszu dyspozycyjnego, jakkolwiek ten apostoł moralności publicznej sam między nimi był największym korrupcjonistą. Rada naczelna potępiła działalność Długosza i jego tow. Opuścił on obrady wychodząc z grupą posłów. W dniu 18 grudnia odbyła się w radzie państwa dyskusja nad „panamą w Kole polskim“. Zainterepelowany premier Stuergh oświadczył w parlamencie, że Stapiński nie wiedział, że pożyczone mu na Kuriera pieniądze pochodzą od rządu, a mógł myśleć, że pochodzą od prawicy narodowej. Na wniosek Daszyńskiego otworzona została dyskusja nad tą odpowiedzią. Obfitowała ona w soczyste określenia, wystarczy przytoczyć, że Daszyński nazwał Długosza „drabem“ i „skandalicznym łajdakiem na ławie rządowej“, a postępek większości Koła polskiego ze Stapińskim „politycznym skrytobójczym morderstwem, przed którym musi uciekać z Koła polskiego pod opiekę opinii publicznej“. Opinia publiczna, reprezentowana przez prasę, stanęła w tej rozprawie politycznej po stronie Stapińskiego, a przeciw Długoszowi. Nazwa „długoszowiec“ była synonimem korrupcjonisty. Kampania, którą sprowokował Długosz, stała się dla niego grobem politycznym. Z gabinetu Stuergha ustąpił. Szczerby poniosło też Koło polskie, z którego wystąpiło pięciu posłów S.L. (Stapiński, Madej, Łyszczarz, Bomba i Kubik). Do grona tego przyłączył się także poseł sejmowy Bosak. Klęskę poniósł jednak ruch ludowy, przez rozszczepienie stronnictwa na dwa odłamy. „Cementu“, który miał spajać i umacniać stronnictwo nie było, zaś to spoidło, które było, okazało się „gazem ropnym“, który stronnictwo rozsadził.

Polska Partia Socjalno Demokratyczna Galicji i Śląska, Polska Partia Socjalistyczna (Kongresówki), reprezentujące proletariacki ruch polityczny, Polskie Stronnictwo Postępowe, grupujące inteligencję polską, wreszcie chłopi skupieni około „Zarania“ i „Związku Chłopskiego“, udzielili pełnego poparcia Stapińskiemu. Sympatie ich stanęły odrazu po stronie tego odłamu PSL, który przy pomocy młodych działaczy ludowych nawracał stronnictwo na stary utarty szlak bojowy. Wyrazem ich oceny sytuacji ruchu ludowego i ich sympatii dla „stapińczyków“, był artykuł w styczniowym numerze z r. 1914 organu PPS „Przedświtu“ zatytułowany: „Rozłam w Polskim Stronnictwie Ludowym“. „Przedświt“ nie dziwił się wcale sojuszowi ludowców z konserwatystami, bo takie sojusze w całej Europie są rzeczą praktykowaną. W Galicji jednak nadużycia szlacheckie i samowola są częste, to też na dłuższą metę takiego sojuszu robić tu nie można, tymczasem sojusz z konserwatystami trwał już za długo, zadawalał tylko część zamożniejszych włościan, a biedota z niego nic nie miała. Raczej zainteresowana ona była w reformie ordynacji wyborczej do sejmu.

„Wiadomo — pisze „Przedświt“ — że w walce o reformę wyborczą ludowcy a przede wszystkim Stapiński, grali najpoważniejszą rolę. I tu właśnie odbywa się atak na Stapińskiego. Pierwszy projekt reformy wyborczej, będący wynikiem kompromisu ludowców, demokratów i konserwatystów krakowskich (bądź co bądź mniej przedpotopowych od „podolaków“ wschodniogalicyjskich!) — został obalony przez endeków i podolaków, przyczem rolę awangardy, atakującej reformę, odegrali biskupi. Nastąpił potem drugi akt walki, podczas którego stronnictwo ludowe coraz bardziej groziło ostrą opozycją. Zaczęły się w stronnictwie secesje: odpadł Stefczyk i hr. Lasocki (były starosta, obecnie endek) najbardziej ugodowi i konserwatywni członkowie partii, prowadził wtedy walkę z prezesem stronnictwa minister Długosz, przy pomocy p. Kędziora, urzędnika Wydziału krajowego, hr. Reja i radcy sądowego Białego. Aż nareszcie przyłącza się do nich wataha posłów chłopskich i wtedy następuje rozłam“.

„...stronnictwo rozpadło się, przeciwko Stapińskiemu poszła większość posłów (17, przeciw 6), ale za nim stanęła olbrzymia większość organizacyj, w osobie członków Rady naczelnej. Jak mamy się wobec tego faktu zachować — zapytywał „Przedświt“ — jaką wartość przedstawiają dla nas zwaśnione odłamy z obu, w grę wchodzących, punktów widzenia: walki ludu polskiego o wyzwolenie, o demokratyzację, o złamanie rządów oligarchicznych i walki o niezależność?

Pierwszą kwestię fakty same rozstrzygają. Stapiński wystąpił z Koła polskiego, jego polityka musi zatem być opozycyjną. Koło niego grupować się będzie wszystko to, co ucisk odczuwa i chce walki. Przeciwko niemu pójdzie odrazu ksiądz, obszarnik, żandarm, starosta i potrzebujący ich opieki lichwiarz. Naturalna podstawa dla zbliżenia grupy Stapińskiego z partią socjalistyczną istnieje obecnie, to też nasza bratnia organizacja — PPSD. Galicji i Śląska — wysnuła z tego odpowiednie konsekwencje. Nie angażuje się ona bynajmniej za osobą Stapińskiego — nie przesądza przyszłości — bo nie jest zupełnie pewna, czy Stapiński wbrew swemu interesowi nie pójdzie znowu na prawo. Ale partia socjalistyczna, a za nią wszyscy, którzy pragną samodzielnej polityki ludowej w Polsce, muszą stwierdzić, że w obozie Stapińskiego jest dziś idea walki o prawa i interesy galicyjskiego ludu wiejskiego“.

„Przejdźmy do drugiej sprawy: walki o niepodległość. Fakt, że P.S.L. w końcu 1912 r. przyłączyło się do Komisji Tymczasowej, ma olbrzymie historyczne znaczenie. Jest to obok powstania Kościuszkowskiego i walki chłopów poznańskich pod Mierosławskim, jeden z niewielu przejawów czynnego wmięszania się włościaństwa polskiego do polityki ogólno-narodowej, wystąpienia w obronie praw tego narodu.... Otóż trzeba przyznać, że to „unarodowienie“ ludowców było zasługą właśnie Stapińskiego, nie kogo innego. Nie wiemy, czy Stapińskiego nie będziemy musieli za parę lat i pod tym względem zwalczać, jak zwalczaliśmy go kiedyś. Nie chcemy tej sprawy przesądzać, ale teraz stwierdzić musimy, że Stapiński położył w tej sprawie bardzo wielkie zasługi, i że ziarno przezeń zasiane, tak już bardzo porosło niwę ludową, iż niełatwo je będzie wyplenić“.

Po stronie przeciwnego obozu widział „Przedświt“ niezdecydowanych. Nie odmawiał zasług Bojce, Średniawskiemu, Witosowi i innym posłom ludowym, którzy w Kole pozostali, ale twierdził, że pchać ich musi siła faktów. W walce ze stapińczykami elementy rządowe staną po ich stronie, wspomagając ich pieniędzmi i nadużyciami, a pobyt w obozie ucisku i korrupcji nie będzie dla nich zdrowy. Istniały już czarne horoskopy na przyszłość. W pierwszych dniach stycznia odbywało się w parlamencie głosowanie nad uwolnieniem od podatku osobisto-dochodowego dochodów od 1200 do 1.600 koron (480 do 640 rubli) rocznie, czyli właśnie tej biedoty, na której się ludowcy opierać powinni. Przeciwko uwolnieniu biedoty od tego podatku głosowali posłowie: Średniawski, Witos, Rusin, Biały, Kędzior, wszyscy zwolennicy Długosza. A pierwszy numer „Piasta“ zawierał prawdziwe „kiwanie się, jak kalwińskiej wiary“; miał on coś do zarzucenia księżom i konserwatystom, ale nie chciał z nimi walczyć.

Takie dyskusje z okazji narodzin partii Długosza, zwanej później P.S.L. „Piast“, prowadzone na łamach pism i na wiecach, przeplatane gwałtami fizycznymi, jak np. napad na Stapińskiego i pobicie jego na wiecu w Kleianowicach, zajmowały opinię publiczną do czasu, gdy zamach w Serajewie odwrócił uwagę społeczeństwa od spraw związanych z wyborami nowego sejmu, a zwrócił ją na zagadnienia polityki międzynarodowej. W sierpniu 1914 r. Galicja stała się terenem rozprawy wojennej między Austrią i Rosją. Huk armat przygłuszył proceśniczą zwadę między dwoma odłamami stronnictwa ludowego. Pierwsza wojna światowa porwała w swój wir politycznie rozbitą wieś galicyjską. Rozbita weszła ona też w życie polityczne niepodległej Polski.

Józef Putek

INSTYTUT PRASY Spółdz. Wyd. »CZYTELNIK«

OGŁASZA KONKURS

na

Opis współczesnej wsi polskiej

Instytut Prasy „Czytelnika“ ogłasza konkurs na opis współczesnej wsi polskiej pod tytułem „OPIS MOJEJ WSI“.

Celem konkursu jest zebranie prawdziwych i wyczerpujących danych o położeniu wsi polskiej na tle czasów od początku ostatniej wojny aż po dzień dzisiejszy. „Opisy wsi“ mają służyć upowszechnieniu doświadczeń i przykładów dobrych oraz wytknięciu i naprawieniu zła; mają pomóc w wytyczaniu dalszej drogi rozwoju wsi polskiej.

KONKURS JEST POWSZECHNY

W konkursie mogą wziąć udział mieszkańcy wsi w Polsce. Niech wypowiedzą się ludzie różnych pokoleń, starsi i młodsi, rolnicy zarówno małorolni jak średniorolni, gospodarze i bezrolni, niech wypowiedzą się wszyscy, którzy są związani z życiem wsi; inteligencja wsi, pracownicy spółdzielni, poczty wiejskiej, zarządów gminnych, rzemieślnicy.

Udział w konkursie polega na spisaniu całej prawdy o przeżyciach wsi w minionych 9 latach i o jej życiu dzisiejszym. Wielki cel społeczny konkursu może być osiągnięty tylko pod warunkiem, że piszący będą szczerzy przy opowiadaniu przeżyć, szczerzy przy wypowiadaniu swoich poglądów, uwag, wniosków i żądań, oraz ściśli i rzetelni przy spisywaniu wiadomości, zdarzeń i liczb.

JAK PISAĆ?

Forma pisania i rozmiary „Opisów“ nie są ograniczone. Jest pożądane, aby w opisach nie było rozwlekłości, aby piszący nie wysilali się na piękne słowa, aby pisząc nie myśleli o dogadzaniu czyjejś ciekawości lub swojej próżności, lecz tylko o podaniu szczerej prawdy.

Piszący może ograniczyć się do własnych przeżyć, albo też omówić przeżycia gromady. Piszący nie jest ograniczony co do formy pisania. „Opisy“ mogą mieć formę wspomnień, listu, sprawozdania, czy zbioru wiadomości i faktów, zdarzeń, liczb i uwag; mogą mieć każdą formę, odpowiadającą zdolnościom, zamiłowaniom, czy umiejętnościom piszącego. Nie trzeba zrażać się trudnościami, słabym opanowaniem stylu, budowy zdań i pisowni. Z uwagi na bliski termin robót wiosennych trzeba chwycić za pióro od razu i poświęcić już pierwsze wieczory pracy nad „Opisem“. Dorzucić potem jedną i drugą myśl będzie już nie trudno. Jeżeli we wsi jest koło młodzieży lub jakiejś organizacji starszych można warunki konkursu omówić na posiedzeniu koła i spróbować napisać we dwóch, trzech ludzi w imieniu danego koła.

O CZYM PISAĆ?

Każdy pisze to, co sam uważa za właściwe. Uwagi, które podajemy poniżej, mają na celu ułatwić pisanie i przypomnieć o sprawach, które miały lub mają miejsce na wsi:

A. CO SIĘ DZIAŁO W LATACH UBIEGŁYCH?

Losy wsi podczas wojny i niemieckiej okupacji. — Przemiany na wsi po wojnie. — Odpływ ludzi na Ziemie Odzyskane. — Parcelacja z reformy rolnej 1944 i 1945 r. — Zniszczenia i odbudowa.

B. DZISIEJSZE POŁOŻENIE GOSPODARCZE WSI.

Co się sieje, sadzi i zbiera, co hoduje i zjada, co sprzedaje i co się kupuje? Dochody i rozchody? Jak wypadły urodzaje i zbiory w ostatnich latach? Czym się orze, sieje i młóci? Stan posiadania ziemi, koni, krów w gospodarstwach? Jak wygląda pomoc sąsiedzka? Rzemiosło, handel, spółdzielnia, młyn, fabryki na wsi. Stan długu hipotecznego, pożyczki na wsi, sposoby ich spłacania, cena ziemi, warunki i możliwości najmu do pracy. Zarobki za pracę stałą i sezonową. Z czego utrzymują się ci, którzy ziemi nie mają? Warto też, aby piszący zastanowił się i opisał, jak ludzie żyją na jego wsi. Jak się ubierają, jedzą, jak się komu powodzi.

C. KULTURALNE I SPOŁECZNE POŁOŻENIE WSI.

Szkoła, nauczyciel na wsi. Czytelnictwo, gazety i książki. Światło, świetlica, kino, przedstawienie, radio, poczta we wsi. Stan zdrowotności, stosunki rodzinne. Jak się układa życie społeczne i polityczne?

Jak się rozwija spółdzielnia, Samopomoc Chłopska, inne organizacje? Jak się układa życie parafialne? Może kto napisze o sołtysie, o pracy gminy, o urzędach, o sądach, o służbie wojskowej. Czy we wsi jest porządek i ład?

KAŻDY PISZE O TYM, CO GO NAJBARDZIEJ INTERESUJE

Powyższe wyliczenie bieżących spraw wsi nie wyczerpuje spraw, które mogą nasunąć się piszącemu, ani nie oznacza, że każdy musi pisać o wszystkich sprawach. Każdy pisze to, co wie o swojej wsi czy gminie, na czym się najlepiej zna, lub co go najbardziej interesuje.

WARUNKI KONKURSU I NAGRODY

1. Uczestnicy konkursu otrzymują zapewnienie, że materiały zawarte w „Opisie“ nie będą użyte w żaden sposób, któryby komukolwiek i czymkolwiek miał przynieść szkodę. Uczestnicy konkursu winni pamiętać, że ich opisy, ich świadectwo oddane prawdzie, ich poglądy, uwagi, ich spostrzeżenia, mogą mieć nieraz poważny wpływ na życie polskie,
2. Nazwisko uczestnika konkursu nie zostanie ogłoszone bez jego zgody. Jeśli uczestnik konkursu chce, aby nie wymieniono nazwy wsi, o której pisze, winien sobie to zastrzec.
3. Do „Opisu“ każdy uczestnik konkursu winien dołączyć kilka zdań o sobie (urodziłem się tam i tam, obecnie mieszkam tu, zajmuję się tym a tym, itd.) oraz podać swój adres. „Opisy“ należy przesłać na adres: **INSTYTUT PRASY „CZYTELNIKA“, Warszawa, ul. Daszyńskiego 14.**
4. Przyjmowanie „Opisów“ otwiera się z dniem 1 kwietnia, a zamyka **w dniu 1 lipca 1948 r.**
5. Opisy zakwalifikowane przez specjalną komisję naukową **INSTYTUT PRASY** zamierza wydać w formie książki, oraz ogłosić w gazetach i czasopismach.
6. **Za najlepsze „OPISY MOJEJ WSI“, uznane przez komisję naukową, Sp. Wyd. „Czytelnik“ przeznacza nagrody w sumie 250.000.— ZŁ**

Nagroda pierwsza	**zł 50.000**
Nagroda druga	**„ 25.000**
Nagroda trzecia	**„ 20.000**
Nagroda czwarta	**„ 15.000**
7 nagród po	**„ 10.000**
14 nagród po	**„ 5.000**

Poza tym przewiduje się oddzielne nagrody dla prac wykonanych przez koła organizacji społecznych oraz nagrody dodatkowe w kwocie 50.000 zł za dokładność opisów, faktów i zdarzeń, za wyczerpujące podanie danych liczbowych (np.: ilość gospodarstw do 2 ha, do 5 ha, do 15 ha i powyżej, bez konia, z jednym koniem i powyżej, stan posiadania krów itp.).

NAGRODA „WSI"

Redakcja tygodnika społeczno literackiego „WIEŚ" ustanawia w konkursie Instytutu Prasy Spółdz. Wyd. „CZYTELNIK"
dodatkową własną nagrodę ***za najlepiej opracowany literacko*** *„Opis współczesnej wsi polskiej"*

na sumę 80.000 zł.

I nagroda — 40.000 zł. II — 25.000 zł. III — 15.000 zł.

Nagroda ta jest dodatkową w tym znaczeniu, że autor nawet nagrodzony przez Instytut Prasy „Czytelnika" ponadto otrzyma naszą nagrodę z tytułu literackich wartości opisu, jeśli te osiągnie w stopniu wyróżniającym

PISARZE! WZYWAMY WAS NA FRONT!

Powszechne zamówienie społeczne obejmuje również i WAS!

Udane i wyróżnione prace pisarzy „Wsi" zostaną wydane przez Spółdz. Wyd. „Czytelnik" w osobnym zbiorze książkowym *Biblioteki „Wsi"*.

Anna Kamieńska

Droga słowa drukowanego

Nonszalancka nota Franciszka Strojowskiego „Droga słowa drukowanego na wieś" plami numer 2 (lutowy) „Twórczości". Autor odciął się na wstępie od wszelkich dyskusji i badań, jakie dotychczas na ten temat przeprowadzono, nie przemęczył się najmniejszym studium socjologii wsi i historii oświaty i uznał zarówno teorię jak i praktykę wielu lat (od połowy XVIII wieku) i wielu instytucji po prostu za niebyłą. Coś tam gadano na ten temat, coś bezplanowo robiono, ale dopiero autor noty w „Twórczości" i instytucja, jaką on dufnie reprezentuje, dostrzegli i właściwy sens i metodę działania oświatowego na wsi. Wielomówna nota Franciszka Strojowskiego wypowiada tu i tam zdania słuszne—najczęściej z gatunku truizmów, ale warto przyjrzeć się bliżej jej ogólnym przesłankom „naukowym" i „ideologicznym". Okaże się wówczas dopiero, z jakiego lamusa zostały one wyciągnięte i wytoczone do boju z zadziwiającą pewnością siebie.

1. „Skoro dobrodziejstwa ustroju demokratycznego nie mają pozostać tylko czczym frazesem, zapełniającym strony programów i dezyderatów, pojęcie literatury i kultury musi się rozciągnąć na cały naród, cały naród musi być jednym pojęciem zarówno w sensie materialnym jak i moralnym, tzn. doły muszą być podciągane wszystkimi środkami do poziomu owych „górnych kilkunastu tysięcy". — W ten sposób uzasadnia Strojowski ważność swego tematu. Operując jednak kategoriami ilości — „milionowe doły" i „górne tysiące" — nie uwzględnia on tego, co najważniejsze: treści i typu kultury, jaka ma być „upowszechniona". Nie wolno było, pisząc o tym tzw. upowszechnieniu kultury, pominąć zasadniczej tezy, do jakiej doprowadziła szeroka dyskusja w prasie literackiej, a mianowicie: kultura mieszczańsko-inteligencka wytworzona przez „górne parę tysięcy" — nie nadaje się w całości (jako typ kultury) do upowszechnienia. Większy problem tkwi nie w oporach mas dołowych wobec oświaty, a w treści tej kultury, którą się chce propagować. Przytoczone zdanie Strojowskiego lekceważy sobie fakt, że charakter działania kulturalnego jest klasowy w tej samej mierze, co procesy gospodarcze i społeczne.

2. W wywodach Strojowskiego pokutuje mit odrębnej „chłopskiej psychiki", mit żmudnie i uporczywie przezwyciężany w teoretycznych koncepcjach ruchu ludowego i młodzieżowego.

„Chłop jest realistą", nie ceniącym sobie wartości „idealnych", lecz tylko użytkowe przedmiotów. „Na rozkosze estetyczne jest głuchy i ślepy". Te i tym podobne zdania nieoparte nawet na obserwacji, niewątpliwie, krzywdzą wieś. Cóż to za „pełnia życia człowieczego" — którą chlubią się w osobie Strojowskiego „górne" warstwy społeczne, a która nie jest rzekomo udziałem „zrośniętego z ziemią" chłopa? Jedynie kobiecie wiejskiej przyznaje on idealniejszą naturę: „Ona to była i jest kapłanką ogniska domowego"; w które kładzie „dobro, piękno i nade wszystko — miłość". Tym samym stylem, którego secesyjność kłóci się z „demokratycznymi" intencjami autora, kreśli on sylwetkę chłopa — dzikusa doświadczającego poraz pierwszy dóbr kulturalnych: „Z natury ostrożny i niechętny wszelkim nowościom zaczął jednak o tym myśleć i rozważać. Przeczytał lub prosił o przeczytanie jeszcze raz. Chodził i medytował, aż wreszcie ostrożnie, jak do ognia podchodząc — zaczął próbować". „Pamiętniki Chłopów" i pamiętniki „Młodego Pokolenia Chłopów" — nie mówiąc już o wielu przykładach z literatury pięknej pokazują nam zupełnie co innego — świadome dążenie do kultury w warstwie chłopskiej. Słyszał coś Strojowski o „odmieńcach" wiejskich, których Czarnowski nazywał „ludźmi marginesowymi". Dezaprobata ich „idealnych" dążeń w środowisku wsi nie dowodzi niedoceniania w ogóle przez wieś zajęć kulturalnych. Zanim autor naszej noty pomyślał o dostarczeniu wsi kultury drukowanej warstw „górnych" wieś nie żyła w próżni kulturalnej. I nie była to tylko izolowana, rogatkowa „kultura ludowa" z jej magią opartą — jak pisze — także na interesie materialnym. Istniał od końca XIX wieku radykalny ruch polityczny chłopski posługujący się świadomie gazetą i broszurą drukowaną, skierowany co prawda przeważnie znowu ku górnej warstwie wsi — kułackiej, ale wyzwalający tym samym dążenia wsi biedniackiej, której kontakty z miastem i klasą robotniczą, ze środowiskami emigranckimi dawały podnietę awansu kulturalnego i łączyły z szerszymi kręgami kultury. Zamiast cytowanego, sakramentalnego „Janka Muzykanta" moglibyśmy przytoczyć wiele przykładów na to, że chłop potrafił nawet w mrokach XIX stulecia uznawać powagę i potrzebę kultury.

A pamiętnikarstwo wójta Słomki, a mir poetów chłopskich - biedniaków — Kurasia, Jantka z Bugaja, a działalność kulturalna grupy naprawskiej, a jednak w warunkach konspiracyjnych ciekawe osiągnięcia organizacyjne „Wsi Tworzącej" w Lubelszczyźnie?

I znów nie obchodzi Strojowskiego treść tej „kultury drukowanej", jaką chce dać wsi. A raczej obchodzi go tylko to, jak dostosować tę treść do rzekomej psychiki chłopskiej? „Chłopa dzisiejszego zainteresuje wszystko, każdy temat, jeśli książka będzie odpowiadała jego psychice". Tak np. psychice kobiet wiejskich będą odpowiadać: „romantyczne przygody miłosne, piękni kochankowie, łzy i radość, wzdychanie i — happy end — to najbardziej porywa kobiety. W tym leży tajemnica powodzenia „Trędowatych", „Ordynatów Michorowskich" i podobnych, które wycisnęły strumienie łez nie tylko z oczu pomocnic domowych, ale i dziewcząt wiejskich i kobiet zamężnych i były niejednokrotnie przyczyną przypalenia obiadu lub nawet gorszych następstw zaczytania". Tak się nie pisze o sprawach kultury. Ale pomijając styl, czy właśnie poprzez literaturę w typie Mniszkówny zamierzamy „podciągać" kulturalnie „doły" społeczne? (Warto by zresztą zerwać z tym ohydnym żargonem w dyskusjach praktyków społecznych).

3. Przechodząc do techniki pracy oświatowej — Strojowski krytykuje organizację kultury nie opartą o żaden plan centralny i realizowaną przez wiele instytucji, które jak np. Samopomoc Chłopska mają i inne zadania, a ponadto uzurpują sobie prawo do prowadzenia własnej polityki oświatowej i czytelniczej. Wymienia zresztą w tej krytyce jednym tchem i takie organizacje, które właśnie stawiają sobie zadania kulturalno-oświatowe jak związki młodzieży. „Zwykły śmiertelnik"—pisze—„nie może wyrozumieć, dlaczego te wszystkie instytucje tak się ambicjonują na polu oświaty powodując tłok i zamieszanie tam, gdzie wystarczyłaby planowa organizacja Ministerstwa Oświaty z nauczycielami szkół podstawowych jako ośrodkami akcji czytelniczej na wsi", ze szkołą, „tym słońcem oświecającym całe swoje otoczenie". „Zwykły śmiertelnik nie może wyrozumieć", a jednak wszystkie te instytucje gospodarcze, polityczne i wychowawcze rozumieją dobrze, że zasadniczo cała rzeczywistość jest kulturalna, że np. instytucja spółdzielcza na wsi nie może powstać bez bazy kulturalnej, tam, mówiąc prosto, gdzie nie dotarła najpierw gazeta i książka.

Nie to jest więc dziwne. Ale tak jak niesienie kultury warstw „górnych" na wieś nie odbywa się w kulturalnej próżni, tak wielkie działanie kulturalne, wielka polityka kultury musi być oparta na bazie kultury zastanej, na tradycjach pracy oświatowej wielu organizacji i instytucji.

Według terminologii ulubionej przez Strojowskiego — „grzechem" byłoby lekceważenie tradycji oświatowych T.U.L.-u, jakie by one nie były, tym bardziej jeśliby nam dziś nie odpowiadały, lekkomyślnością byłoby machnięcie ręką na tradycje kulturalne ruchu młodzieżowego na wsi. To były instytucje które rozpoczęły walkę z kulturą niesioną na wieś przez dwór i plebanię, to były instytucje o szerokim zasięgu, gromadzące więcej elementów, niż mogłyby je pomieścić wpływy samej szkoły. Idea oparcia całej oświaty na wsi o szkołę podstawową była w dyskusji o czytelnictwie już wysuwana. Uniwersalność szkoły na wsi niezależnie od możliwości realizacji tego postulatu byłaby z punktu widzenia historycznego regresją kulturalną, czy nie o wiek cały, podobnie zresztą jak instytucja czytania zbiorowego. Natomiast wielkim niedopatrzeniem jest pominięcie podstawowego aspektu czytelnictwa na wsi — problemu analfabetyzmu. Do właściwej pracy oświatowej, do walki z analfabetyzmem powinniśmy właśnie ambicjonować wszystkie organizacje działające na wsi i w środowiskach robotniczych. Projekt Strojowskiego tak niekonsekwentny ideologicznie chce oprzeć politykę kulturalną o plan i aparat państwowy — nie budzi jednak zaufania swoją argumentacją, stopniem orientacji w zagadnieniu i metodyką odrzucającą fakt zasadniczy — **oddolne dążenie wsi do kultury wyrażające się w chłopskich społecznych organizacjach oświatowych.** Wykorzystać je dla centralnego planu kulturalnego, dać im napęd ideologiczny — oto byłyby zadania. Struktura życia kulturalnego jest skomplikowana, składa się nie tylko z dnia obecnego, ale i z tradycji.

Nota Strojowskiego upraszcza ją jednym chlaśnięciem atramentu.

Publicysta poruszający zagadnienie czytelnictwa na wsi nie stoi wobec „terra incognita" problemu.

Podajemy tu spis pozycji z tego zakresu drukowanych we „Wsi":

1) **Ankieta** („Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?") — „Wieś" nr. 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91.

2) **Czytelnictwo na wsi, drogi kolportażu**— J. Marszałek („Wieś" nr. 80), W. Błachut („Wieś" nr 81); P. Zlarnik („Wieś" nr 77); Głosy ze wsi („Wieś" 100 — 101).

3) **Oświata ludowa** — H. Brodowska („W" 106—107); J. A. Król (W" 126); **Pisma ludowe** — H. Syska („W" 100—101, 106—107, 118); M. Żmigrodzka („W" 132); J. A. Król („W" nr 116, 118); **Społeczne instytucje** — J. A. Król, W. Jażdżyński, J. Kapuściński, J. Pogan, W. Osmenda („W" nr. 130, 133, 134, 136, 104, 125, 127, 128—129) **Przodownicy kultury na wsi, gusty estetyczne** — A. Kamieńska („W" nr 119 124, 128 — 129), **Powstawanie inteligencji chłopskiej** — J. A. Król („W" nr. 85, 87, 104, 106 — 107, 126.

Janusz Lin

SOCJOLOGIA AMERYKAŃSKA

Krótki szkic Howarda Beckera, prof. Uniwersytetu Wisconsin (U.S.A.) p.t. „Amerykańska socjologia od początku drugiej wojny światowej" obrazuje schematycznie, ale zarazem dość jasno i dobitnie charakter i tendencje socjologii amerykańskiej. Czytającemu tę książkę narzuca się wniosek, że w socjologii amerykańskiej panuje wielka różnorodność metod badawczych i poznawczych teorii, wzajemnie się zwalczających i, co istotniejsze, zbyt szybko przemijających, by pozostawić jakiś trwalszy ślad w nauce. Fakt ten stwierdza dość dobitnie Becker: „U schyłku 1941 roku pokładało się wielkie nadzieje w propagowaniu socjologii systematyczno - kwantytatywnej, którą z taką siłą popierał G.A. Lundberg i S.C. Dodd, a która jednakże po przeprowadzeniu analizy badań, wykazała brak ścisłej obiektywnej metody naukowej. Reszta nadziei rozpierzchła całkowicie, gdy S.C. Dodd ogłosił na początku 1942 roku swe obszerne dzieło „Dimensions of Society". Stało się jasnym, że zawiedziono się na całej linii. Z przeczuciem podobnego zawodu przyjęte zostały dwa tomy „Yankee City Ceries" Lloyda Warnera". „Powszechnie mniemano — pisze dalej Becker — że jubileusz uniwersytetu chicagowskiego (1940 — 41) doda nowych podniet do dalszych.... dociekań naukowych. Tu i tam czyniono pewne kroki naprzód, wydawano liczne prace naukowe, ale gdy doszło w roku 1942 do wydania zbioru prac socjologicznych.... znaleźliśmy w nim jedynie nowe sformułowania starych i niebezpiecznych analogii organicznych".

A więc nie tylko nie przekroczono granicy XIX w. — ale utknięto w jednym z jego najsłabszych punktów.

Niewątpliwie nie cała socjologia bazuje na tego rodzaju anachronizmach — niemniej nurt ten jest tak przeważający, że teorie socjologiczne, które chciałoby się nazwać nowoczesnymi giną wręcz w labiryncie przestarzałych teorii. Wyrastają nowe kierunki, nowe metody badań, nowe opracowania — czy aby jednak ostaną się wobec krytyki.

Sugestie Beckera i podana bibliografia napawają sceptycyzmem.

Z drugiej strony — w socjologii amerykańskiej w toku wojny zaszły rzeczywiście poważne zmiany. Socjologia została wchłonięta przez aparat wojenny. „Wojna zmuszała socjologów w dalszym ciągu do wyjścia z ciasnych kręgów akademickiej specjalizacji, która dotąd była „cichaczem" aprobowana — i do obierania za przedmiot badań naukowych zagadnień ściśle związanych z wymogami chwili bieżącej, szczególnie z dziedziny nauk politycznych i gospodarczych".

Zaczęło się od tego, że wprowadzono na uniwersytetach tzw. area courses — czyli kursy nauczania języków obcych. Nauczano przy tym historii, ekonomii, obyczajów tych narodów, na terenie których walczyła armia amerykańska. Wykładowcami byli w przeważającej mierze socjologowie i etnologowie.

„Zainteresowanie kursami... było bardzo duże. Odwiedzali je również i niespecjaliści.... Interesowali się kursami również dlatego, iż wiadomości zdobyte przez kursistów winny i mogły znaleźć praktyczne zastosowanie w związku z ruchami rewolucyjnymi w państwach Osi i ich satelitów, dalej — w pracy szpiegowskiej, a w przyszłości winny pomóc w organizacji świata powojennego, miały służyć przeobrażeniom kulturalnym, kontroli zwyciężonych, słowem miały służyć temu wszystkiemu, co się powszechnie nazywało „wygraniem pokoju".

Latem 1943 r. Social Science Research Council i American Council of Learned Societies przedstawiły również projekty dostosowania wydziałów języków obcych i socjologicznych do potrzeb wojennych.

Fakt wprzągnięcia socjologii w mechanizm wojny — jest szczególnie znamienny.

W sferach naukowych pokutuje często zdanie, że nauka nie tylko powinna stać, ale stoi poza zagadnieniami i praktyką polityczną.... Czy rzeczywiście?

Socjologia amerykańska również w okresie powojennym znajduje się w służbie państwa. Nie zważając na to, że polityczna i międzynarodowa sytuacja Stanów Zjednoczonych znacznie się zmieniła. Nauka, która w okresie wojny służyła walce o pokój, w okresie pokoju służyć musi — z przyczyn bez wątpienia od niej niezależnych — sprawom niezawsze pokojowym. Tym bardziej, że droga teoretycznych badań została częściowo zamknięta. (jak podaje Becker natrafiono na znaczne trudności wydawnicze, co zrażało naukowców do badań teoretycznych).

Socjologowie amerykańscy dość sumiennie wykonywali i wykonują swoje państwowe obowiązki. Czyż dzieje wojenne amerykańskiej socjologii nie są dowodem, że jednak niema apolitycznej nauki? I — pytanie następne — dlaczego ci, którzy sami zdają sobie doskonale sprawę, że nauka musi znaleźć się w ostateczności w jakimś obozie politycznym — atakują tych, którzy świadomie stwierdzają, że oddają naukę w służbę pokoju i demokracji.

Historia wojenna amerykańskiej socjologii świadczy wyraźnie, jak trudna jest tam sytuacja naukowa i jak znaczna jest anarchia metodologiczna i poznawcza.

Zasadniczą trudnością socjologii amerykańskiej jest brak zgodności teorii naukowej i praktyki społecznej. Pogodzenie obydwu elementów wyprowadziłoby socjologię amerykańską z krytycznego połczenia.

Czy mogą tego dokonać jednak uniwersytety, służące władzy kapitalizmu? Raczej wątpliwe.

STO LAT TEMU 1848 – 1948

POD REDAKCJĄ Dr WITOLDA ŁUKASZEWICZA

Wiktor Heltman

Szlachta i rewolucja *)

Szlachta i rewolucja, to jest przywilej i zniesienie przywileju, dwa wprost sobie przeciwne pojęcia, nie raz jednak zbiegały się u nas, stawały obok siebie i zwalczały wspólnego zewnętrznego wroga.

Cofnąwszy się o lat kilkadziesiąt, kiedy przemiana wewnętrznego porządku starej szlacheckiej społeczności, stała się w przekonaniu wszystkich koniecznością nieuchronną, natrafiamy najpierw na Konstytucję 3 Maja, której główną było misją wydobyć nowe z narodu siły, dla zrzucenia obcego jarzma. W stosunku do szlachty była to rzeczywista rewolucja, bo naruszała podstawy starego, szlacheckiego porządku, a w miejsce ich kładła nowe. Ale dla reszty mieszkańców, dla ludu, na którego nie spłynęły żadne owej reformy dobrodziejstwa, którego odwieczną niewolę prawem uświęcono i jej zachowanie później potomności nakazano — dla ludu 3 Maj nie był rewolucją. Tyle też los tej Konstytucji obchodził go, ile obchodzi masę nieuprzywilejowaną zmiana ministerium w jakim państwie konstytucyjnym. Dlatego również rokosz targowicki, dawny porządek przywrócić usiłujący, był tylko walką szlachty ze szlachtą, garstki mającej za sobą ogrom potęgi moskiewskiej, z masą długim nierządem do bezsilności przywiedzioną. Dlatego jeszcze rewolucja, charakteru ludowej rewolucji nie mająca, czysto-szlachecka, upaść musiała.

W roku dopiero 1794 przywilej staje wobec rzeczywistej rewolucji, to jest wobec myśli dążącej do zmiany stosunków istniejących między różnymi klasami. Przez nadanie osobistej wolności chłopom i zmniejszenie pańszczyzny, mniemał Kościuszko sprawę Polski szlacheckiej, uczynić zarazem sprawą Polski ludu, a przez to wydobyć nową siłę, do zwalczenia wrogów dostateczną. Kwestia dla przywileju zanadto śmiała, dla ludu za trwożliwie położona; od szlachty żądano za wiele, ludowi dano za mało; i znowu rewolucja upadła.

Napoleon szczęśliwszy był ze swoim: „znosi się niewola"; szlachta albowiem czuła dobrze, iż takie niewoli zniesienie istoty dawnego porządku nie narusza; i trzeba było tak ograniczonej i przesądnej szlachty jak litewska, aby w tak mało znaczącej przemianie czerpać jeden z powodów do oziębłego popierania sprawy 1812 r. W Księstwie więc Warszawskim przywilej nie powstał na tę nową rewolucję; na Litwie tylko dała się uczuć i to słaba reakcja, moskiewską Czartoryskiego partią pobudzana.

Ostatnie powstanie (1830/31), dostawszy się od razu w ręce naturalnych ludu nieprzyjaciół, w ich objęciu wcześniej skonało, nim myśl przemiany społecznego porządku naturalnym biegiem wypadków o właściwe dla siebie miejsce dopomnieć się mogła.

Aby wywróżyć na przyszłość coś prawdopodobnego z faktów tu przytoczonych bliżej im przypatrzyć się musimy.

Głównie uderza to, iż nigdy u nas szlachta nie występuje w charakterze silnej, czynnej lub zbrojnej opozycji, jak występowała np. szlachta francuska za czasów pierwszej rewolucji. Zawsze widzimy opór jedynie bierny. Targowiczanie wkroczyli wprawdzie z obcym wojskiem; ale najprzód liczba ich ograniczyła się do nader małej, prawie do kilku indywiduów, którzy żadnego w narodzie współczucia nie znaleźli; potem, jakeśmy to uważali, szlachta występowała tu jedynie przeciwko szlachcie, nie przeciw ludowi. Zresztą straszna kara, jaką ci zdrajcy odebrali 1794 r., odstręczy każdego, co by ich naśladować pragnął. Nowej Targowicy nie lękajmy się. Warunki, w których ona powstała, wzmogła się i działała, nie istnieją.

*Za Kościuszki opór jest już czysto bierny, bo walka ma kolor rewolucyjny. Szlachta paraliżuje powstanie przez proste niebranie w nim udziału. Garstka tylko rzuca się do broni **); reszta w domu zostaje, lub za granicę uchodzi, nie dla sprowadzenia wojsk obcych, jak Targowiczanie, lecz aby osobiste znaleźć bezpieczeństwo. Czynni zdrajcy wyjątkiem są tylko.*

Toż samo dzieje się na Litwie i na Rusi 1812 r. Toż samo powiedzieć można o ostatnim powstaniu. Wszędzie opór jest czysto bierny, przez niedziałanie.

Przyczyna tak słabych reakcji uprzywilejowanego stanu leży przede wszystkim i głównie w tym, iż u nas kwestia rewolucyjna, kwestia przemiany społecznego porządku, była zawsze z kwestią niepodległości ściśle złączona. Najgorsza zła wiara i zepsute sumienie nigdy ich rozdzielić nie były w stanie. Szlachta chciała Polski niepodległej i najszczerzej chciała; lecz duszą jej miotały dwa sprzeczne uczucia: miłość ojczyzny i miłość przywilejów. Nie mogąc ani zbrojno przeciwko powstaniu wystąpić, ani śmiałej podać mu ręki, nieruchomie stanęła wśród bolesnego pasowania się.

W przyszłym powstaniu będzie to samo? Gdybyśmy kwestię rewolucyjną równie śmiało położyli, jak ją kładła Konstytucja 3 Maja, Kościuszko i Napoleon, można śmiało twierdzić, iż opór szlachty, jeżeli się objawi, będzie, jak był dotąd, biernym tylko. Okoliczności, w jakich znajdujemy się dzisiaj, jeszczeby więcej od czynnej reakcji odwodzić powinny. Naród nasz dźwiga jarzmo nierównie cięższe jak 1788, 1792, 1794, 1807, 1812 i 1830 roku; żądza skruszenia go, uczucie miłości ojczyzny, pobudki do poświęcenia się, powinny być nierównie mocniejsze.

Z drugiej znowu strony przyszła rewolucja tak wielkiego od szlachty zażąda poświęcenia, iż jej przywiązanie do kraju na cięższe jak dawniej próby wystawione być musi. Z wewnętrznej walki, duszę jej rozdzierającej, powstanie opór jedynie bierny?

---

* Umieszczone w dzienniku „Demokrata polski" Tom VI. p. 25. Wersal, 1843 r.

**) Polska liczy około miliona szlachty, co daje przeszło 200.000 indywiduów zdolnych do noszenia broni. Jakoż za dawnych Rzeczypospolitej czasów zawsze kilkadziesiąt tysięcy, czasem nawet sto kilkadziesiąt stawało do boju, samej szlachty. Siła zbrojna Kościuszki, razem wzięta, nie wynosiła więcej jak trzydzieści do czterdziestu tysięcy. Składała się ona z wojsk regularnych i świeżo uzbrojonego ludu. Iluż mogło być ochotników szlacheckich? najwięcej kilka tysięcy!

FAKTY I ZDANIA

Wojenna i powojenna droga prof. Frey

Pismo „Oesterreichisches Tagebuch" podaje interesującą biografię jednego z austriackich profesorów.

Prof. Dagobert Frey był przed wojną profesorem historii sztuki na uniwersytecie wrocławskim, był on równocześnie członkiem N.S. D.A.P. Pouczał swych studentów o zagadnieniach sztuki — i równocześnie był jednym z członków t.zw. „Osteuropa Institut".

Prof. Frey interesował się szczególnie polskimi zabytkami.

Gdy Niemcy w 1939 r. obsadzili Polskę wraz z wojskiem niemieckim, jako jeden z pierwszych zjawił się na terytorium okupowanej Polski prof. Dagobert Frey. Jako wielki miłośnik sztuki (!) — zamykał muzea — a zabytki polskiej kultury wysyłał do Niemiec. W Niemczech obrazy i dzieła sztuki niszczały — ale to sprawa dla prof. Freya małej wagi. Że obcy naród nie ma prawa wywozić czyichś dóbr — to też mało ważne.

Gdy z początkiem 1947 r. prof. Lorentz, dyrektor warszawskiego Muzeum Narodowego z liczną grupą polskich artystów — wniósł przeciw Freyowi oskarżenie o zbrodnie wojenne — hitlerowski profesor poczuł się conajmniej obrażony. Jakto — bronił przecież polskich dóbr przed hitlerowskim barbarzyństwem, — „czynił wszystko w interesie sztuki, by ocalić dobra artystyczne". Tymi słowami odpierał zarzuty.

Ale, że dziś polscy archiwiści i muzeolodzy nie mogą z powrotem sprowadzić większości polskich dzieł — o tym milczy prof. Dagobert Frey.

I cóż porabia profesor obecnie?

Żyje na wolności w Austrii. Wykłada na uniwersytecie. Jakby nie splamił się żadną winą. Ba, 16 lutego 1948 roku wygłosił odczyt pod niedwuznacznym tytułem „Jedność kultury zachodnioeuropejskiej".

Polska nie odzyskała dzieł sztuki — a prof. Frey cieszy się całkowitą wolnością. Boć przecież broni spraw kultury zachodniej (czytaj amerykańskiej).

Stefan Mazurek

„Tygodniku Warszawski" — cui bono?

„Tygodnik Warszawski" wydrukował w 118 numerze fragmenty z książki Jerzego Bernanos'a, katolickiego pisarza francuskiego; książka wydana w 1947 roku nosi tytuł: „La France contre les Robots".

Przypatrzmy się kilku wybranym myślom drukowanych fragmentów:

„W najmniejszym stopniu nie rozumie współczesnej cywilizacji ten, kto z góry nie uzna, iż stanowi ona wszechświatowy spisek przeciwko wszelkiego rodzaju życiu wewnętrznemu".

„Człowiek ma styczność ze swą duszą jedynie poprzez życie wewnętrzne, a w Cywilizacji Maszynowej życie wewnętrzne przybiera zwolna cechę anormalną".

„Wcześniej czy później Technika zapragnie urobić współpracowników oddanych ciałem i duszą jej Zasadzie, to znaczy takich, którzy bez zbytecznej dyskusji przyjmą jej koncepcję ładu, życia, jej koncepcję Racji Istnienia. W świecie, którego jedynym celem Wydajność. Wydolność czyż każdy obywatel nie powinien być od urodzenia ofiarowany tym samym bogom? Technika nie podlega dyskusji, jako że rozwiązania, które ona narzuca, są ex definitione najpraktyczniejsze. **A rozwiązanie praktyczne nie jest ani estetyczne ani moralne** (podkreślenie nasze). Głupcy! Czyż Technika już dzisiaj nie rości sobie prawa, na przykład do kierowania dziatwy ku tym lub owym zawodom? Nie spodziewajcie się, że zawsze poprzestanie na skierowywaniu ich; będzie je wręcz przeznaczała. **Tak oto moralnej czy nawet nadprzyrodzonej idei powołania stopniowo przeciwstawia się idea zwykłego przysposobienia fizycznego i umysłowego.** Czy sądzicie głupcy, że system taki i tak rygorystyczny może się ostać na podstawie prostej zgody? Ażeby go przyjąć tak jak on chce być przyjęty, trzeba weń uwierzyć, trzeba doń całkowicie dostosować nie tylko swe czyny ale swe sumienie".

Oto kilka myśli jednego z najbardziej skrajnych manifestów personalistycznych. Książka Bernanos'a jest zaciekłym pamfletem nie tylko przeciw cywilizacji technicznej, ale przeciw systemowi społecznemu, który pragnąłby organizować życie grup ludzkich na racjonalnych, zgodnych z wynikami naukowymi, przesłankach.

Nie będziemy się wdawać w krytykę poglądów Bernanos'a, przypominać, że autor chętnie wystąpiłby w roli Savonaroli XX wieku, zwracamy tylko uwagę, że poglądy te są wybitnie antyhumanistyczne, zakładają niewiarę w człowieka, wyrażają mieszczański katastrofizm, odwracają ludzi od zadań cywilizacyjnych.

„Tygodnik Warszawski" poglądy Bernanos'a podsuwa czytelnikowi polskiemu; w swojej polityce kulturalnej nienawiść do postępu technicznego, do maszyn, przemysłu uważa pismo widocznie za jeden z swoich elementów wychowawczych. Pismo szerzy niechęć do cywilizacji technicznej, gdy cywilizacja ta ma służyć nowemu ustrojowi, szerzy niechęć do uprzemysłowienia, gdy dzięki niemu kraj może się podźwignąć z zapóźnienia gospodarczego, podważa ideę pracy, gdy produkty jej mają służyć społecznemu podziałowi.

Cui bono?

M. Koliba.

ADMINISTRACJA „WSI"
ZAWIADAMIA, ŻE SĄ DO NABYCIA
ROCZNIKI „WSI" W OPRAWIE
Z ROKU 1947.
CENA ROCZNIKA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOSI ZŁOTYCH 1.500.—

W OSTATNIM 11(140) NUMERZE „WSI"
z dnia 14 marca 1948 r.

Jakub Litwin — Z wojny — w demokrację ludową; **Maria Janion** — Szlachetność czy szlachetczyzna; **Ilia Ercnburg** — W Polsce; **Józef Putek** — „Cement" i „Ropa"; **Jerzy Edward Miller** — Stare miasto w Warszawie; **Jan Nagrabiecki** — Do człowieka idącego z pracy; **Maria Kruczkowska** — Francja w latach 1830 — 1848; **Szczepan Aleksander Pieniążek** — Edward Kr-zan czyta „Poland of To-day"; **Tadeusz Orlewicz** — Kraj paradoksów kapitalistycznych; **Seweryn Skulski** — Obrazki; **Edward Niziurski** — „Zrywanie z burżuazją"; **Jerzy Falenciak** — „Staczali się coraz niżej"; **Maciej Czuła** — Wszystko zawdzięczałem „sobie"; **Fakty i zdania: Piotr Pigwa** — Płoną nowe „Wici"; **Korespondent** — Oto „wódz"; **M. Koliba** — Krokodyle łzy; **Stanisław Jucha-Śnieżyński** — Ameryka i my; **Jan Lektor** — Na marginesie „Trizonii"; **zet** — Znawcy prawa; Komunikaty; Ilustracji 21; Stron 12.

W NUMERZE ŚWIĄTECZNYM,
POWIĘKSZONYM
między innymi:

głosy o wsi w okresie okupacji
o korespondentach wiejskich
o chłopskiej młodzieży studiującej
o powieściach wojennych młodych prozaików
o inteligencji wielkomieszczańskiej
o współzawodnictwie i humaniźmie
o kulturze...

J. Bieńka, M. Czuły, T. Drewnowskiego, T. Goździkiewicza, M. Grada, M. Janion, W. Jażdżyńskiego, A. Kamieńskiej, J. Kapuścińskiego, J. A. Króla, A. Litwina, W. Łukaszewicza, M. Miniasa, L. Pokory, K. Oleksika, T. Różewicza, L. Stasiaka, S. Skulskiego, J. Szczepańskiego, A. Zegers, M. Żmigrodzkiej.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto P.K.O. ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, zwirki 2. D—025526